



Nelson S. Bond

Ładunek z Wenus

(F.O.B. Venus)

November 1939

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz



SPIS TREŚCI

Ładunek z Wenus.

Lancelot Biggs Gotuje Piratowi.

Szalenstwo Lancelota Biggsa.

Ładunek z Wenus

Coś się trochę pochrzało w moim nadajniku, właśnie skończyłem to naprawiać i rozsyłałem do wszystkich CQ na paśmie 20, kiedy drzwi do kabiny radiowej otworzyły się i do środka wszedł kapitan Hanson.

Naturalnie, byłem zaskoczony. Dopiero cztery godziny temu wyszliśmy spod warstwy Heaviside'a Wenus i nie spodziewałem się żadnych gości, a już najmniej starego. Ale usadowił się na najlepszym krzeselku i oświadczył:

— Sparks, popatrz na mnie! Kogo widzisz przed sobą?

Lekko mną to wstrząsnęło. Nawet najlepsi z nich mogli od czasu do czasu dostać starego dobrego kuku na muniu, nigdy bym jednak nie pomyślał, że dożyję chwili, kiedy w kosmiczny obłęd wpadnie kapitan Hanson. Był w korporacji już jako chłopak, od ponad trzydziestu lat, i nigdy nie spędził nawet dnia w suchym doku. Ostrożnie sięgnąłem ręką za siebie i rzuciłem najbardziej uspokajającym tonem, jaki byłem w stanie wyprodukować.

Ładunek z Wenus

— No cóż, jest pan naprawdę wspaniałym człowiekiem, panie kapitanie. A teraz proszę posiedzieć tu spokojnie przez chwilę. Muszę tylko...

— Przestań zachowywać się jak ostatni głupiec, Sparks!
— przerwał mi ze zmęczeniem stary. — I odłóż ten cholerny klucz! Nie odukało mi – przynajmniej jeszcze nie. Zadałem ci tylko jedno proste pytanie. Kogo przed sobą widzisz?

Odparłem mu:

— Czy szuka pan czystych faktów, czy mogę sobie pozwolić na pewną licentia poetica? Jeśli chodzi o fakty, to widzę eleganckiego, lekko siwiejącego mężczyznę, nieco po pięćdziesiątce, który z niejednego pieca chleb jadł, zna kosmos jak własną kieszeń i...

— Źle! — oznajmił Hanson. — Sparks, wszyscy radiowcy są głupi. Pewnie dlatego właśnie zostałeś radiowcem. Widzisz przed sobą załamane go człowieka. Człowieka ciężko doświadczanego przez los i paskudny zbieg okoliczności. Nie wspominając już o wtrącających się we wszystko wiceprezesach.

Tym razem, załapałem.

— Biggs? — zasugerowałem.

— Tak, Sparks. Biggs. Powiedz mi, jak facet facetowi, czym ja sobie zasłużyłem na Biggsa?

I tu mnie miał. Funkcji kapitana *Saturna*, nie nazwałbym lekką robotą, nawet w najlepszych warunkach. *Saturn* jest najstarszym lugrem kosmicznym, ciągle pozostającym w aktywnej służbie na trasach Korporacji. Zbudowany został dawno temu, jeszcze przed końcem wieku. Przez ostatnie dzie-

Ładunek z Wenus

się, dwanaście lat służył jako frachtowiec, po tym jak został uznany za nieodpowiedni do lotów pasażerskich, przez RKBK – Radę Kontroli Bezpieczeństwa w Kosmosie.

Żeby jeszcze bardziej pogorszyć sprawę, kiedy zabieraliśmy ładunek w porcie kosmicznym w Sun City, stary został wezwany do biura kompanii. Kiedy stamtąd wrócił, holował za sobą Biggsa.

Biggs był wysoki. Biggs był chudy, kościsty, i można by tu dalej wymienić wszystkie przymiotniki używane w stosunku do gości ze sterczącym jabłkiem Adama. Na twarzy nosił ogromny, uśmiech od ucha do ucha, dokładnie tak głupi, jak można to sobie wyobrazić. Miał papiery trzeciego oficera, co upoważniało go do tytułowania „pan” Biggs – to „pan” było niezłym kamuflażem dla jego prawdziwego imienia, Lancelot.

Ale przede wszystkim... Biggs był bratankiem starego, gburowatego Prendergasta Biggsa, pierwszego wiceprezesa Korporacji. A więc, kiedy przydzielono Biggsa na *Saturna*, stary nie mógł zrobić niczego poza przełknięciem śliny i odpowiedzią „Doskonale”.

Nikt jednak nie mógł go powstrzymać przed marzeniem, że Biggs potknie się o swoje własne bagaże i skręci sobie ten swój chudy kark – niestety Biggs tego nie zrobił. To znaczy, był wystarczająco niezgrabny, żeby się potknąć, ale miał też na tyle dużo szczęścia, by wylądować jak na miękkiej poduszce, kiedy to się już stało!

Spytałem delikatnie:

— Co on do tej pory narobił, panie kapitanie?

Ładunek z Wenus

— A czego on nie narobił? — wyjęczał stary. — Najpierw, kiedy wrywaliśmy się z uchwytu Wenus, powiedział, że potrafi obsługiwać gravy. Tak więc...

— Och! — wtrąciłem. — A więc to on jest temu winien, tak?

— Przestań pocierać sobie głowę i rozczulać się nad sobą — powiedział Hanson. — I tak miałeś szczęście. Główny inżynier Garrity robi sobie okłady na podbite oczy. Jeden z pomocników mechanika ma złamaną rękę. Każdy na statku latał aż po sam sufit, tak jak ty.

— Coś jeszcze? — spytałem.

— Wszystko jeszcze! — parsknął Hanson. — Kiedy my wszyscy kotłowaliśmy się w powietrzu, Biggs złapał się ręcznych sterów. Przez pomyłkę włączył ręczny deflektor. Todd właśnie skończył obliczać poprawkę kursu. W tej chwili jesteśmy przecinek zero siedem stopnia poza trajektorią; niemal trzysta tysięcy mil! Musimy podkręcić obroty i zmarnować paliwo, żeby wrócić na kurs, albo zameldujemy się na Ziemi dzień później. A przecież wiesz, co to by oznaczało!

No pewnie, że wiedziałem, co to by oznaczało. Stary na dywaniku przed Radą; reszta z nas siedząca jak na szpilkach i obgryzająca paznokcie, zastanawiając się, czy nie wywalą *Saturna* z trasy na Wenus.

— No dobrze, i co zamierza pan z nim zrobić?

— A co ja mogę?

— Zawsze pozostaje śluza powietrzna — zasugerowałem.

— Nikt nie będzie pana winił.

Ładunek z Wenus

— Nie czas teraz na głupie dowcipy, Sparks! — poskarżył się stary. — To naprawdę poważny problem. Mamy wartościowy ładunek korzeni mekel i fasoli clab, który trzeba dostarczyć do Nowego Jorku. Ale jeśli ten głupiec jeszcze raz zakłóci nasz lot...

Pokręcił żałośnie głową. Ja podrapałem się po swojej. I wtedy wpadłem na genialny pomysł.

— Ładunek! — oznajmiłem. — Oto rozwiązanie pańskiego problemu, panie kapitanie!

— Zamieniam się w słuch — odparł Hanson.

— Niech pan zrobi Biggsa odpowiedzialnym za ładunek. W ten sposób pozbędzie się go pan do ładowni, na cały lot. Nie będzie się kręcił na górze, po wieżyczce sterowniczej, żeby pana denerwować. A co on może zrobić tam na dole, żeby komukolwiek zaszkodzić?

— Ale, to jest praca supercargo — zmarszczył brwi stary. — I Biggs o tym wie.

— Pewnie. Ale Harkness będzie z panem współdziałał. Proszę mu powiedzieć, aby udawał, że jest chory. Niech pan mu da wolne na ten lot. I tak na to zasłużył. A wtedy logiczne będzie, umieścić pana Biggsa tam na dole, ze specjalnym zadaniem.

Stary uśmiechnął się szeroko.

— Sparks, cofam to wszystko, co powiedziałem o radiowcach. Myślę, że masz tam coś między uszami, oprócz gumki!

— A więc, zrobi to pan?

Ładunek z Wenus

— Natychmiast — odparł Hanson, wstając. — Jeśli nie jeszcze szybciej.

I tak się stało. Tej nocy miałem czas wolny od służby i zszedłem na dół do mesy, żeby zjeść tyle wodnistej gulaszu Slopsa, ile znieś mój żołądek. Pierwszą osobą, na którą się natknąłem, był oczywiście sam pan Lancelot Biggs.

— Cześć, Sparks — powiedział.

— Cześć — odparłem. — Co pan robi o tej porze w mesie? Myślałem, że jada pan razem z kapitanem.

— Tak było do tej pory — uśmiechnął się. — Dzisiaj popołudniu Harknessa wzięło jakieś choróbko i stary wyznaczył mnie w trybie awaryjnym na jego miejsce.

— Naprawdę? — rzuciłem, starając się wyglądać na mocno zaskoczonego. — No cóż, to poważne zadanie. Wie pan, duża odpowiedzialność. Ten ładunek jest bardzo cenny.

Musiałem się uśmiechnąć, kiedy jego chuda twarz otrzęźwiała.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Sparks. Bardzo dużo myślę na temat tej pracy. Wiesz przecież, że mam trochę duszę eksperymentatora, i wydaje mi się...

Jedne z chłopców z messy przyniósł mi w tym momencie moje żarcie i już nie słuchałem reszty jego gadaniny. Co było poważnym błędem. Gdybym słuchał, mógłbym zawczasu ostrzec kapitana Hansona o zbliżających się kłopotach.

Ładunek z Wenus

Myślę, że był to mniej więcej trzeci dzień w kosmosie, kiedy zacząłem wyczuwać te zapaszki. Tak, wiem że to był trzeci dzień, ponieważ właśnie skontaktowałem się z Joe Marlowem na Lunar Trzy, przekazując mu deklinację i szybkość lotu *Saturna*. Pomyślałem sobie, że to zabawne, ale wydawało mi się, że szybko minie. Nie minęło. Robiło się coraz gorzej. W końcu, piątego dnia, postanowiłem coś z tym zrobić.

Nie ma lepszej rzeczy niż wyjść kłopotom naprzeciw. Byłem właśnie w drodze z kabiny radiowej do wieżyczki sterowniczej, kiedy wpadłem z hukiem na kapitana Hansona. Była to kolizja czołowa, ale „Ooo!” szefa trwało odrobinę dłużej niż moje, tak więc zacząłem mówić jako pierwszy.

— Proszę posłuchać! — ryknąłem. — Mam już mniej więcej tak bardzo dosyć tej starej dziurawej łajby, ile jestem w stanie wytrzymać. Jeżeli nie skończy pan z tymi smrodami, które produkuje w kuchni Slops...

Hanson obrzucił mnie spojrzeniem, które zmroziłoby piekło.

— Nie życzę sobie z tobą kłopotów, Sparks! — brzmiała jego odpowiedź. — Ja też poczułem te zapaszki. I o to właśnie szedłem cię zapytać. Czy nie bawiłeś się czasami tymi swoimi eksperymentami chemicznymi?

— Nie — poinformowałem go wyniośle. — A poza tym, o ile chemikalia mogą czasami trochę śmierdzieć, to żadne z nich nie dają nigdy odoru beczki przegniłej kapusty. Może poza kilkoma związkami siarki. — Potem popatrzyłem na nie-

Ładunek z Wenus

go. — Ja nie żartuję. Myślę, że te zapaszki docierają tu na górę z kuchni.

Stary cicho jęknął.

— Kłopoty. Ciągle tylko kłopoty. Nie wystarczy, że mam jakoś przeciągać tę balię między Ziemią i Wenus. Teraz jeszcze muszę zajmować się jakimiś smrodami. No cóż, chodźmy więc. Rzućmy na to okiem!

Zeszliśmy do kuchni. Slops mieszał coś w misce, podgrzewając ją. Wystarczył mi jeden rzut oka i wzdrygnąłem się. Tapioka – znowu. I nie mówcie mi, że nie powinno się mieszać tapioki na ogniu. Ja to wiem. Powiedzcie Slopsowi.

Na ten widok stary stracił cierpliwość.

— No dobra, Slops — warknął. — Poddajemy się. Gdzie to schowałeś?

Slops wyglądał na zaintrygowanego.

— Schowałem, co? Ja niczego nie chowałem. Co to jest, jakaś gra?

— No pewnie — włączyłem się. — Nazywa się Zepsuć Atmosferę. Gra się w nią ściskając nos palcem wskazującym i kciukiem. A potem próbuje się domyślić, co tu zdechło.

— Spokój, Sparks! — zaryczał stary. Potem do kucharza: — No i co, Slops?

Slops wzruszył ramionami.

— Ja nic nie zrobiłem — zaprotestował. — Niczego nie chowałem i niczego nie wachałem. A teraz, mam obiad na ogniu. Idźcie już stąd i zostawcie mnie w spokoju.

Ładunek z Wenus

Stary spojrział na mnie, a ja spojrzałem na niego. Obaj jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę z jednej rzeczy. Slops nie kłamał. Ten odór nie był tutaj tak mocny, jak na górnym pokładzie.

Hanson podrapał się po głowie. Popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Sparks, na pewno nie bawiłeś się mieszaniem żadnych chemikaliów?

— Przysięgam — zapewniłem go, — żebym miał do końca życia dzienniki pokładowe wypisywać. Ten smród dochodzi z... Hej, a co jeszcze oprócz kuchni leży pod moją kabiną i wieżyczką sterowniczą?

— Ja jestem kucharzem — stwierdził Slops, ciągle mieszając tapiokę — a nie planem statku. Mnie nie pytaj.

— Zamknij się! — ostro rzucił kapitan Hanson. — On nie pytał ciebie. Zobaczmy, Sparks. Jest szafka z zapasami... rezerwuar... zbiorniki chłodzące i... — Nagle rozszerzyły mu się oczy; z przerażeniem — Sparks! — wychrypiął.

— Tak?

— Ładownia z roślinami!

I to był strzał w dziesiątkę. Wiedziałem to już w chwili, kiedy kończył mówić. Ładownia z roślinami – i Biggs, który za nią odpowiadał!

Ładunek z Wenus

Pobiegliśmy co sił w nogach do najbliższej rampy. W chwili kiedy skręciliśmy w korytarz prowadzący do ładowni, smród zrobił się dużo gorszy. Hanson przemknął nim jak rozpędzona asteroida, a ja deptałem mu po piętach. Walnęliśmy w drzwi, otwierając je z hukiem...

Biggs był w środku. Ten cholerny głupiec stał tam ubrany w skafander kosmiczny, spokojnie spryskując puszkami z korzeniami mekel i clab, przy pomocy węża!

Kiedy wpadliśmy do środka, odwrócił się w naszą stronę, oczy błyszczały mu spoza kwarcytowej szyby. Jego audiofon uprzejmie zatrzeszczał.

— Witajcie! — oznajmił. — Czy coś się stało?

— Coś się stało! — zaryczał kapitan Hanson. — On pyta, czy coś się stało! Ten... ten skafander! Ten... wąż... — Twarz starego robiła się purpurowa. — I to ciepło!

— Wyłączyłem urządzenia chłodzące — uprzejmie zatrzeszczał Biggs. — Widzi pan, miałem taką teorię, że ponieważ klimat na Wenus jest ciepły i wilgotny, lepiej będzie dla ładunku, jeśli spróbuję zasymulować jego normalne warunki rozwoju. A więc...

— A ten skafander? — ryknął Hanson. — Skąd ten skafander?

Biggs machnął bagatelizująco rękoma.

— A to, z powodu możliwej infekcji, wie pan. Nie chciałem wystawiać roślin na żadne organizmy...

Ładunek z Wenus

— Infekcja... wilgotność... ciepło... — kapitan Hanson poddał się. Zatopił twarz w dłoniach. — Powiedz mu, Sparks. Powiedz mu, co narobił!

Powiedziałem.

— Niech pan posłucha, Biggs. Pańska teoria... jest błędna. *Clab* i *mekel* muszą być przechowywane w zimnej i suchej atmosferze, inaczej zaczną gnić. A prawdę mówiąc, te tutaj już zgniły! Właśnie dlatego razem z kapitanem zeszliśmy na dół – żeby zobaczyć co tak cuchnie. Gdyby pan nie miał na sobie skafandra, sam by pan to zauważył.

— Cuchnie? — powtórzył Biggs. — Jeśli już tak o tym pomyśleć, to rzeczywiście od czasu do czasu zauważałem swoisty zapach na statku. Myślałem jednak, że to szczury!

Szczury! Na statku kosmicznym! Wyobraźcie sobie!

Dla Hansona to była ostatnia kropla goryczy. Próbował, naprawdę bardzo ciężko próbował. Ale teraz eksplodował.

— Biggs! — zaryczał jak ranny niedźwiedź. — Zniszczył pan ten ładunek! Natychmiast zwalniam pana z zajmowanego stanowiska! Ale zanim uda się pan do swojej kwatery, ma pan posprzątać każdy skrawek tego bałaganu. Powiedziałem, każdy skrawek, zrozumiano! Wyrzucić to na śmieci! Posprzątać do czysta!

Biggs oklapł.

— A...ale, panie kapitanie, ja tylko chciałem...

— Słyszał mnie pan!

Ładunek z Wenus

Stary obrócił się na pięcie, wściekły z gniewu i ruszył w stronę drzwi. Pośpieszyłem za nim. Zacząłem szeptać mu do ucha:

— Proszę się uspokoić, panie kapitanie. On jest bratanikiem wiceprezesa. Może powinien pan trochę zwolnić.

— Zwolnić? — wyjęczał stary. — Ładunek wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów zniszczony – a ty mi mówisz, że powinienem zwolnić? Chcę zobaczyć jak ten zidiociały syn kosmicznego szmaciarza będzie się smażył w piekle! Wywalę go na zbity łeb z kosmosu, choćbym miał za to trafić na czarną listę!

Zamknąłem się. Co tu można było jeszcze powiedzieć? Ładunek o wartości pięćdziesięciu tysięcy zielonych gnije w ładowni. Rada nas za to pokocha!

To było wszystko, przynajmniej do następnego dnia rano. Kolejnego poranka, byłem na mostku, kiedy kapitana Hansona odwiedził gość. Garrity, główny inżynier. Garrity *ni-gdy* nie przychodził na mostek. Tak więc, w chwili kiedy go ujrzałem wiedziałem od razu, że musiało się stać coś naprawdę złego.

Tak też było. Już pierwsze słowa Garrity'ego spowodowały, że stało się to oczywiste. Popatrzył na starego oskarżycielsko, gniewnym spojrzeniem ciągle jeszcze lekko sino podbitych oczu.

Ładunek z Wenus

— Kapitanie Hanson — wybuchnął. — Czy będzie pan tak uprzejmy i powie mi, gdzie mogę znaleźć swoje pojemniki Foreziego?

Hanson zapytał:

— Pojemniki Foreziego? O czym pan mówi, panie Główny?

— Z całą pewnością wie pan, co to jest pojemnik Foreziego — ironicznie oświadczył Garrity. — To ołowiany pojemnik na elektrolity bateryjne. Wczoraj w magazynku było ich trzydzieści. Dzisiaj, zostało zaledwie sześć!

Kapitan stwierdził opryskliwie.

— Panie Główny, będzie pan tak uprzejmy i sam pan sobie poszuka swoich pojemników. Ja nic na ten temat nie wiem. Jeśli nie potrafi pan upilnować swojego wyposażenia, to proszę nie przychodzić z tym na skargę do *mnie*!

— Przychodzę na skargę do pana, panie kapitanie — odparł główny inżynier, — z jednego bardzo prostego powodu. To jeden z pańskich ludzi zabrał je z szafki. To był pański trzeci oficer, pan Biggs!

— Biggs! — powtórzył kapitan. — Biggs!

Twarz mu poczerwieniała. Podeszedł do pulpitu interkomu, dźgnął palcem w przycisk, który połączył go z kwaterą Biggsa.

— Panie Biggs! — wykrztusił. — Pan Garrity jest u mnie na górze we wieżycze, i pyta o dwadzieścia cztery ołowiane pojemniki, które w dziwny sposób zniknęły z jego szafki na sprzęt. Czy wie pan coś na ten...

Ładunek z Wenus

Membrana głośniczka słuchawki wybrzęczała cicho odpowiedź. Hanson drgnął. Wytrzeszczył oczy. Zawołał:

— Co?!

Ponownie metaliczne bzyczenie. Tym razem Hanson nawet nie próbował odpowiadać. Zataczając się odszedł od telefonu.

— P...panie Garrity — wyszeptał, — czy będzie pan potrzebował tych pojemników zanim dotrzemy do portu?

— No cóż, one nie są aż tak krytycznie ważne... — przyznał Garrity. — Ale, czemu pan pyta?

Hanson machnął niemrawo ręką.

— Ponieważ one są... w kosmosie.

— Co? — wtrąciłem. — Na zewnątrz statku? Jakim cudem? Dlaczego?

W oczach Hansona widać było udrękę.

— Biggs — oznajmił pustym głosem — pomyślał, że to są kubły na śmieci! Użył ich do wyrzucenia zgniłego ładunku!

No cóż, przynajmniej ta utrata pojemników Foreziego nie niosła ze sobą żadnego zagrożenia. Ale wiecie, że to nawet ja musiałem przekazać informację o tym panu Biggsowi? Tak. Tej nocy otrzymałem osobistą wiadomość dla niego, a więc zaniósłem ją na dół, do jego kabiny. Ponieważ miał zakaz opuszczania swojej kwatery, czuł się samotny. Wyglądał

Ładunek z Wenus

jak zбитy pies, a więc zrobiło mi się go żal. Zostałem wobec tego na chwilę u niego, żeby pogadać.

— Domyślam się, że uważasz mnie za straszego głupca, Sparks — powiedział żalonym tonem. — I jestem pewien, że kapitan Hanson sądzi tak samo. Ale... to jest mój pierwszy lot, przecież wiesz. A nikt nigdy nie powiedział mi, czego używać jako wiadra na śmieci...

— Proszę posłuchać, panie Biggs — zacząłem mu wyjaśniać. — W kosmosie wiadra na śmieci są niepotrzebne. Nie może pan tak po prostu wyrzucać rzeczy przez śluzę i spodziewać się, że pan się ich pozbędzie.

— Ale kapitan Hanson powiedział, żeby te zgniłe rośliny wyrzucić na śmieci.

— Na śmieci. Nie tak po prostu wyrzucić! Powinien pan je wrzucić do spalarki. Widzi pan, wszystko co zostanie wyrzucone z *Saturna* w próżnię, podąża dalej za statkiem. — Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. — Nie chciałbym być w skórze kogoś z pracowników obsługi w porcie kosmicznym na Ziemi, kiedy *Saturn* przyleci tam w otoczeniu dwudziestu czterech ołowianych satelitów, pełnych śmieci.

Zgasił mnie w mgnieniu oka.

— Ale... ale one nie będą z nami, kiedy wylądujemy, Sparks, Zaraz jak tylko wejdziemy w atmosferę ziemską, tarcie zniszczy wszystkie pojemniki Forenziego oraz ich zawartość.

Zagwizdałem cicho.

Ładunek z Wenus

— O rany, ma pan rację. Zupełnie o tym zapomniałem, a Kapitan Hanson był taki rozbity, że też o tym nie pomyślał. To znaczy, że musimy ściągnąć te pojemniki z powrotem na pokład statku, zanim wejdziemy w tropo, inaczej stracimy sprzęt wart parę setek zielonych.

Biggs zaproponował potulnie:

— Ja... chętnie wyjdę w kosmos i pościagam je z powrotem, Sparks. Czy mógłbyś to załatwić ze starym?

— Spróbuję — obiecałem mu.

Następnego dnia porozmawiałem więc z kapitanem Hansonem na ten temat. Stary pociągnął się za wargę z namysłem i zgodził się.

— Niech się tym zajmie. To i tak lepiej niż dawać mu darmowy przewóz na Ziemię. A może uda mu się jakoś ześlizgnąć w strumień odrzutu rakiet?

Przekazałem rozkaz Biggsowi; potem wróciłem do kabiny radiowej. Joe Marlowe wywoływał mnie z Lunar Trzy. To co miał mi do przekazania, wybiło mi z głowy wszystkie inne myśli. Wiadomość pochodziła prosto z centrali Korporacji.

— Proszę poinformować — głosila — o dokładnej wielkości i prawdopodobnej wartości ładunku. Potrzebna natychmiastowa odpowiedź.

Odpowiedziałem szybkim O.K. i przesłałem wiadomość do starego. Potem zaczęła mnie zżerać ciekawość, więc skontaktowałem się z Joem na naszym prywatnym paśmie konwersacyjnym i zacząłem go wypytywać co i jak. Odpowiedział ostrożnie.

Ładunek z Wenus

— Bert, giełda w Nowym Jorku zanurkowała na łeb na szyję — poinformował mnie. — Akcje Korporacji spadają niemal do zera. Ogromnie potrzebuje tego ładunku.

O jejku, to były złe wieści! Wiadomość miała charakter prywatny, ale uznałem, że stary powinien o tym wiedzieć. Tak więc, kiedy przyszedł, powiedziałem mu o wszystkim. Wpatrywał się we mnie.

— Jasna cholera, Sparks! Ale w takim razie, nie mogę im wysłać *tego!*

„To”, była to wiadomość, którą zamierzał przekazać. Brzmiała ona krótko: „Ładunek uległ zniszczeniu. Wartość zerowa.”

— Jeśli pan to zrobi, wszyscy będziemy studiować ogłoszenia o pracy, zaraz jak tylko zawiniemy do portu. Rynki giełdowe dziwnie reagują. To nie może być przecież jakaś ogromna panika, ani też ładunek o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolców nie jest znów aż taki ważny. Ale jeśli Korporacja jest pod ostrzałem, a oni dowiedzą się, że ładunek Saturna jest bezwartościowy...

— Co więc zrobimy?

— Grajmy na zwłokę — zasugerowałem. — Być może do czasu zanim dolecimy, sytuacja jakoś się wyklaruje.

Tak więc, wysmażyliśmy wiadomość, która nie powinna na razie za bardzo namieszać. Brzmiała ona następująco: „Wartość ładunku wyceniona została w porcie kosmicznym w Sun City na kwotę 50 000 dolarów.” I była to w zasadzie prawda...

Ten właśnie moment, ze swym nieomylnym talentem do wyboru najgorszej możliwej chwili, wybrał sobie Biggs, żeby wpaść jak bomba do mojej kabiny radiowej. Zdjął z głowy kwarcytowy hełm, ale ciągle miał na sobie skafander, którego pozbawione nadymającego go powietrza fałdy, zwisały wokół niego, jak kiepsko udrapowane cielsko wenusjańskiego mamuta.

Oznajmił:

— Hej, Sparks, nie masz może jakiejś książki na temat energii i promieniowania?

— Proszę się obsłużyć — odparłem, wskazując na moją biblioteczkę. — Na co to panu i skąd ta nagła ekscytacja?

— Tak sobie pomyślałem — zaczął, — że być może...

Kapitan Hansen warknął jak rozgniewany lew:

— Panie Biggs! Myślałem, że miał pan zająć się odzyskaniem tych pojemników Forenziego?

— Tak jest, panie kapitanie. Miałem. To jest, chciałem powiedzieć, zajmuję się tym. Ale...

— Proszę zapomnieć o wszystkich „ale”! Niech pan wraca do roboty!

— T-tak, panie kapitanie — zasalutował pokornie Biggs; rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie. — Dzięki, Sparks. Mam pewien pomysł, i jeżeli mam rację...

— Wynocha stąd, Biggs! — zaryczał stary.

Ładunek z Wenus

— Tak jest, panie kapitanie. — Biggs pośpiesznie się wycofał. Znikając za drzwiami, przerzucał strony książki. Hanson gniewnie pociągnął za dolną wargę.

— Korporacja plajtuje. *Saturn* może pójść pod młotek. My wszyscy wylatujemy z roboty. A ten... obłąkany młody arogant chce się bawić w szkołę!

— Wydawał się być czymś ogromnie podekscytowany — zauważyłem.

— I będzie jeszcze bardziej — obiecał stary, — jeśli nie ściągnie z powrotem na pokład tych pojemników.

Wszystko to, żeby nadać całej tej sprawie biblijnego tła, miało miejsce siódmego dnia lotu. Rejs *Saturna* miał trwać dziesięć dni. Zostały nam więc jeszcze trzy dni bólu głowy, zanim znajdziemy się na miejscu, w porcie kosmicznym w Nowym Jorku.

I były to naprawdę trzy dni bólu głowy. Szef i ja spędzaliśmy większość czasu wisząc na radiu, obserwując postęp spadku na giełdzie w Nowym Jorku. Mieliśmy nadzieję, że sytuacja trochę się poprawi, tak że nasze przybycie bez ładu i kłopotu, niczego już nie będzie zmieniać. Niestety nie mieliśmy takiego szczęścia. Jakimś sposobem rozeszły się pogłoski, że ładunek Saturna nie ma wystarczającej wartości, żeby utrzymać Korporację na powierzchni. A wilki z Wall Street zaczęły zacieśniać krąg, gotowe, aby rzucić się do gardła, jeśli pogłoski te okażą się prawdziwe.

Tymczasem, nasz głupiutki przyjaciel Biggs spędzał cholernie dużo czasu na odzyskiwaniu tych pojemników. Wiecie,

Ładunek z Wenus

to nie była jakaś specjalnie trudna praca. Musiał tylko wyjść na zewnątrz przez śluzę, zawiązać linkę wokół każdego pojemnika i wciągnąć go do środka.

Wydawał się być jednak przy tym równie niezdarny, jak przy każdej innej pracy, której próbował. Kiedyś, w czasie poza służbą, zszedłem do niego, żeby spojrzeć co robi. Zobaczyłem, że zawiązuje linki wokół poszczególnych pojemników, ale ani jednego z nich, nie wciągnął jeszcze do śluzy powietrznej.

Powiedziałem mu:

— Lepiej trochę by się pan z tym pośpieszył, Biggs. Jutro wchodzimy w tropo. Jeśli te pojemniki wpadną w atmosferę, będzie pan mógł co najwyżej *przełać* je do śluzy.

— Wiem o tym — odparł jakoś nie do końca z sensem — ale jeszcze nie jestem do końca gotów do... Sparks, zgodnie z tą książką, którą mi pożyczyłeś, promieniowanie kosmiczne osiąga długości do 1/100 000 angstrema?

— Tak, to prawda — odparłem.

— To znaczy, że są one ponad dziesięć razy bardziej intensywne od promieni gamma?

— Ponownie, prawda. Czemu pan pyta? Jaka z tego korzyść?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć — odpowiedział dziwnie tajemniczo. Skończył zawiązywać pętlę wokół jednego z pojemników; odsunął się od niego i ruszył w stronę śluzy.

Ładunek z Wenus

— Chce pan, żebym go teraz wciągnął do środka? — spytałem go.

— Nie, dzięki, Sparks. Myślę, że zostawię je jeszcze na zewnątrz, do jutra — powiedział.

— Ale, kapitan Hanson... — zacząłem.

— Jutro.

— Pomimo wszystko jestem tylko radiowcem — wzruszyłem ramionami. — To pański pogrzeb — dodałem jeszcze.

Powciągał je do środka, następnego dnia. Widziałem je, jak leżały na korytarzu koło śluzy powietrznej, przykryte pasem brezentu. Odzyskał je także niemalże w ostatniej chwili, ponieważ jakąś godzinę później weszliśmy w warstwę Heavyside'a.

Ustawiliśmy urządzenia jonosferyczne i przeszliśmy przez nią bez problemów. Od tego miejsca, było to już łatwe podejście do Ziemi. Wyrzuciliśmy nasze żagle lugrowe – wciągane metalowe płetwy, od których pochodziła nazwa „kosmiczne lugry” – i wysunęliśmy hamulce aerodynamiczne. Kilka godzin później siadaliśmy już koło naszego hangaru w porcie kosmicznym w Nowym Jorku.

Zabezpieczyłem swój nadajnik i zamknąłem kabinę radiową na klucz. Od tej pory nie miałem już nic innego do roboty. Poszedłem więc na górę do wieżyczki sterowniczej,

Ładunek z Wenus

gdzie znalazłem kapitana Hansona, który obgryzł już swój palec wskazujący niemal do drugiego stawu.

— I co, panie kapitanie? — spytałem.

— Są jakieś nowe informacje, Sparks? — zaczął dopytywać się z niepokojem.

Pokręciłem głową.

— Same złe wieści. Rada ma przysłać swoich rzeczoznawców natychmiast.

Oznajmił ze zmęczeniem:

— No cóż, zrobiliśmy co się dało. Gdyby nie to szaleństwo Biggsa, ciągle mielibyśmy nasz ładunek. Ale w obecnym stanie...

— Zastanawiam się, czy International Stratoplanes nie potrzebują jakichś operatorów radiowych — ponuro stwierdziłem.

Byliśmy już na ziemi. Kiedy szliśmy korytarzem, silniki zostały wyłączone i słyszeliśmy nawet syk otwierającej się śluzy powietrznej. Dotarliśmy do wjazdu dokładnie w chwili, kiedy przeszedł przez niego komitet powitalny. W jego skład wchodził Doc Challenger, pułkownik Brophy, a nawet sam stary Prendergast Biggs. Od razu wiedziałem, że sprawy źle stoją, inaczej wszystkie te grube ryby nie wyszłyby nam na spotkanie.

Challenger zrobił krok do przodu, cały rozpromieniony.

— Szczęśliwe lądowanie, panie kapitanie! — zarechotał.

— Nie muszę chyba mówić jak bardzo się cieszymy, że dotarł pan bezpiecznie. Tutaj, w Nowym Jorku przeżywaliśmy złe

Ładunek z Wenus

chwile, proszę pana, bardzo źle. Teraz jednak wszystko już będzie dobrze.

Hanson odparł:

— Tak, proszę pana. Ale mam panu coś do powiedzenia...

— Później, kochany panie kapitanie, później. Przede wszystkim musimy się upewnić co do ładunku. *Mekel* i *clab*, warte w przybliżeniu 50 000 dolarów – zgadza się? Mamy tu ze sobą naszych rzeczoznawców. Jeśli pańska wycena była poprawna, Korporacja przetrwa ten... ehmm... łagodny sztorm.

Hanson nerwowo zakaszał. Wił się jak piskorz.

— No cóż, tak... widzi pan... co do tego ładunku...

Jeszcze nigdy nie widziałem, jak na trzech twarzach równocześnie, tak nagle gasną uśmiechy. Na chwilę zapanowała kamienna cisza. Potem pułkownik Brophy powiedział przyciszonym głosem:

— Kapitanie Hanson, w pańskiej wycenie wartości ładunku, nie ma żadnego błędu, tak?

— Nie, proszę pana. To znaczy, chciałem powiedzieć, że wycena była poprawna, tylko...

Dokładnie w tej chwili przerwał nam młody Lancelot Biggs.

Ładunek z Wenus

— Proszę mi wybaczyć, panowie — oznajmił, — ale nie do końca rozumiem. Czy to, że wylądowaliśmy z tym ładunkiem *clab* i *mekel* jest jakoś szczególnie ważne?

Kapitan Hanson wsiadł na niego.

— Biggs! — surowo warknął.

Potem zwrócił się do Prendergasta Biggsa.

— Proszę pana — oznajmił, — odwlekałem tę sprawę tak długo, jak tylko mogłem. Teraz jednak muszę panu o czymś powiedzieć. Ten pański wspaniały bratanek...

Starszy człowiek uśmiechnął się głupkowato.

— Tak, tak, kapitanie Hanson. Cudowny chłopak, co nie? Lancelocie, o czym zacząłeś nam mówić?

Złapałem Hansona za ramię. Myślałem, że wyjdzie z siebie i zaraz komuś przywali. Zanim jednak zdążył to zrobić, Lancelot Biggs zaczął znowu mówić. Do kapitana.

— Kapitanie Hanson — rzekł poważnym tonem, — szkoda, że mi pan nie powiedział tego wcześniej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nasz ładunek był taki ważny...

Potem zwrócił się do komitetu powitalnego.

— Panowie, mam nadzieję, że nie będzie to dla panów zbyt dużym zaskoczeniem, kiedy się dowiedzie, że naszym ładunkiem nie są rośliny. W ostatniej chwili kapitan Hanson postanowił dokonać zmiany...

Twarz Hansona zrobiła się biała. Wyskrzecztał:

— Co?! Czy pan próbuje zrzucić winę na...

Biggs przerwał jego protest.

Ładunek z Wenus

— ...tak więc, panowie, ładunek jest tutaj, gotów do waszej inspekcji. Proszę popatrzeć!

Szybkim ruchem zerwał brezent z pojemników Forenziego. Spojrzałem na nie... i aż przełknąłem ślinę! Zgadza się, były to te same pojemniki. Tylko wyglądały one zupełnie inaczej! Nie były już zrobione z ciemnego metalu o białawym nalocie. Miały błyszczący, miedziany kolor! Biggs poklepał jeden z nich czule.

— Niech panowie poproszą swoich rzeczoznawców o wycenę tych przedmiotów. Myślę, że określą oni ich wartość na mniej więcej ćwierć miliona dolarów. One są... z czystego złota!

Dobrze, że trzymałem kapitana Hansona za ramię. Ponieważ w tej samej chwili, kiedy komitet powitalny wybuchnął okrzykami: „Wspaniale! Doskonały interes, kapitanie Hanson!”, nerwy szefa poddały się. Zapadł się jak przebity skafander kosmiczny. Pamiętam tylko, że krzychałem:

— Wody! Niech ktoś przyniesie wody!

A potem również i ja odpłynąłem.

Po tym wszystkim, kiedy cała nasza trójka siedziała sama we wieżycze, Hanson zaczął się dopytywać:

— Ale jak to było możliwe, Biggs? Kompletnie tego nie pojmuję. Jak, u diabła, to się mogło stać?

Biggs poczerwieniał i wyglądał nieswojo.

Ładunek z Wenus

— Panie kapitanie, przecież ta sprawa powinna być dla pana zupełnie oczywista, jeśli dokładniej pan ją przeanalizuje. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że nikt nie odkrył tego zjawiska wcześniej, w ciągu dwudziestu lat trwania podróży kosmicznych. Niewykluczone, że to dlatego, iż statki i skafandry kosmiczne są ze superstopu, a nie z ołowiu. Albo może jakiś enzym, skryty w zgniłych roślinach zadziałał jako katalizator. Ludzie z laboratoriów powinni to przestudiować.

— Ciągłe nam pan nie mówi, co się wydarzyło.

— Nie wiecie panowie? To była transmutacja, wywołana w pojemnikach Forenzego pod wpływem działania promieniowania kosmicznego¹.

Kapitan Hanson spytał pełnym pokory tonem:

— Spowodowane to zostało przez wystawienie na promieniowanie kosmiczne?

— Tak. Sztuczne transmutacje znane były już dawno temu, we wczesnych latach 20 wieku, z użyciem bombardowania promieniami gamma. Promieniowanie kosmiczne jest ponad dziesięć razy krótsze niż gamma.

— Zacząłem podejrzewać, że z tymi pojemnikami Forenzego stało się coś dziwnego, kiedy po raz pierwszy wyszedłem w kosmos, żeby je zacząć zbierać. Ich kolor nieco się

¹ Ołów ma masę atomową 207, a jego liczba atomowa wynosi 82. Liczba atomowa odpowiada łącznej wartości dodatniego ładunku jądra. Złoto, z drugiej strony ma masę atomową 197, przy liczbie atomowej 79.

Utrata dwóch cząsteczek alfa i jednej cząsteczki beta w atomie ołowiu, powoduje przemianę tego atomu w atom izotopu złota, o liczbie atomowej 79 i masie atomowej 199. Dla praktycznie wszystkich celów komercyjnych, jest to to samo, co prawdziwe złoto (przyp. Autora).

Ładunek z Wenus

zmienił, a powierzchnia zewnętrzna wyglądała na bardziej ziarnistą. To dlatego właśnie przyszedłem pożyczyć od Sparksa tę książkę o promieniowaniu. To, co w niej wyczytałem, przekonało mnie, że ołów przechodził transmutację; znajdował się wtedy w stanie meso-ołowiu; mniej więcej izotopu talu.

— Postanowiłem zaczekać i zobaczyć, czy transmutacja będzie trwała dalej...

Hanson przejechał dłonią po czole.

— A przypuśćmy, że byłoby więcej czasu. I przypuśćmy również, że transmutacja poszłaby krok dalej. Co by się wtedy stało?

— No cóż, to bardzo interesujące pytanie. Następnym pierwiastkiem w dół drabinki jest platyna¹. To całkiem możliwe, że...

— Niech pan zaczeka — przerwał mu stary. — Powiedział pan, platyna?

— Tak. Czemu pan pyta?

— Nic, nic. To jest nic ważnego.

Stary wstał i podszedł do telefonu interkomu.

— Ross? — zawołał. — Niech pan posłucha... Proszę przygotować tę łajbę do kolejnego lotu. Startujemy na Wenus jako pierwsi, jutro rano. A, i panie Ross! Proszę wysłać ludzi do magazynu po pięć – nie, nich będzie sześć – tuzinów pojem-

¹ Platyna ma masę atomową 195 i całkowity łączny ładunek dodatni jądra 78 (przyp. Autora).

Ładunek z Wenus

ników Forenzego. Tak, powiedziałem, pojemników Forenzego.

— Jeszcze jedno, Ross. Niech wezmą największe, jakie mają! Korporacja jeszcze o tym nie wie, ale wchodzimy w biznes transmutacyjny. A pan Biggs, przechodzi na stanowisko pierwszego oficera!

KONIEC

Lancelot Biggs gotuje piratowi

Lancelot Biggs Cooks a Pirate

February 1940

Cały kłopot rozpoczął się od Slopsa. Rozumiecie, Slops nie był tak po prostu *kiepskim* kucharzem. Właściwszym byłoby powiedzieć, że on w ogóle nie był kucharzem. Cechowało go coś, co można by nazwać „kompleksem tapioki”. Polegał on na tym, że tapioka była na śniadanie, tapioka była na obiad, tapioka była na kolację. Codziennie. Tapioka gotowana, tapioka pieczona, a nawet tapioka smażona....

Brrr! Kiedy skacze się na gravach dwa razy w miesiącu, na ligrze krążącym między Ziemią i Wenus, nie można węgutować przez cały czas na diecie z ta... z tego świństwa.

Ładunek z Wenus

W każdym razie, w końcu było to już za dużo, nawet dla takiego starego kosmicznego wyjadacza o żelaznym żołądku, jak kapitan Hanson. Tak więc, kiedy zawinęliśmy do portu kosmicznego w Sun City, stary oznajmił stanowczo:

— Wywalam cię, Slops. I rozumiem przez to, że cię naprawdę wywalam!

I wykopał naszego (domniemanego) szefa kuchni z *Saturna*, razem z jego ubraniami, jego zaległymi zarobkami, jego organkami i jego ta... wiecie czym.

Co postawiło nas w niemal krańcowo trudnej sytuacji, ponieważ okazało się, że w całym Sun City nie było nawet jednego kucharza z doświadczeniem na statkach kosmicznych. Podczas gdy *Saturn* pobierał swój ładunek na Ziemię, w większości pepsynę i artykuły medyczne, do tego jedna czy dwie ładownie pełne *mekel* i *clab*, szef stawał na głowie, żeby wykopać spod ziemi jakiegoś fachmana od żarcia. Ale bezskutecznie.

Godzinę przez zaplanowanym startem, przyczłapał do mojej kabiny radiowej. Klapnął w najwygodniejszym fotelu i zaczął drapać się nerwowo po swej siwej czuprynie.

— Niech to diabli, Sparks — poskarżył się. — Myślałem, że dobrze robię, kiedy zwalniałem Slopsa, ale...

— Dobrze pan zrobił — poparłem go. — Wywalając ten zawszony łeb ze statku, uratował pan życie czternastu osobom. Reszcie załogi. Krążyły już plany albo buntu, albo morderstwa, ludziom było wszystko jedno, byle nie musieli jeść kolejnej porcji tej cholernej paćki.

Ładunek z Wenus

— Ale — mówił dalej z troską w głosie, — za niecałą godzinę stawiamy żagle i lecimy na Ziemię. A nie mamy kucharza. Co, na przestworza niebieskie, mamy teraz zrobić?

W trakcie słów kapitana, wszedł do środka nasz pierwszy oficer, Lancelot Biggs. Teraz zaoferował się, usłużnie:

— Mogę poprosić Slopsa żeby wrócił, jeśli pan sobie tego życzy, panie kapitanie. Widziałem go w Palace Bar...

— *Nie!* — wrzasnęliśmy stary i ja zgodnym chórem.

Biggs wyglądał na urażonego. Jego sterczące jabłko Adama podskakiwało mu w gardle, jak nieprzełknięta pomarańcza. Zaczął się bronić:

— No cóż, pomimo wszystko, tapioka jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zawiera wartościowe składniki odżywcze, które...

— Niech pan się zamknie! — zawył kapitan Hanson.

Nie był w nastroju, aby przyjmować porady od kogokolwiek, a już szczególnie od Lancelota Biggsa. Być może powodem tego było to, że nasza ostatnia „podróż transmutacyjna”, w trakcie której próbowaliśmy zmienić ołowiane pojemniki w platynowe, wystawiając je na działanie promieniowania kosmicznego, zakończyła się fiaskiem. Korporacja wezwała za to kapitana na dywanik, i stary był trochę przeczulony na punkcie pierwszego oficera, ponieważ początkowo cała sprawa była pomysłem Biggsa. „Zamorduję każdego, kto choćby wspomni o tym... o tej sprawie!”

Pan Biggs odparł skrzywdzonym tonem.

— Ja tylko próbowałem być pomocny.

Ładunek z Wenus

— Jest pan równie pomocny — oświadczył mu ironicznie stary, — jak piąte koło u wozu. A teraz, wynoś mi się pan stąd! Jazda! Wynocha!

Nasz chudy pierwszy oficer odwrócił się i zaczął wychodzić z kabiny. Ale wtedy, nagle...

— Proszę poczekać! — krzyknął za nim kapitan Hanson.
— A dokąd to pan się wybiera, panie Biggs?

Biggs przełknął ślinę.

— Przecież... przecież powiedział mi pan, żebym...

— Proszę zapomnieć, co powiedziałem wcześniej! Niech pan robi to, co mówię teraz! Chyba znalazłem rozwiązanie. Panie Biggs, ta pańska mózgowica wydaje się być wypełniona różnorodną wiedzą. Czy może jakimś przypadkiem, nie wie pan czegoś o sztuce gotowania?

— Kto? — spytał Biggs. — Ja? No cóż, nie, panie kapitanie. Ale nie wydaje mi się, żeby to było jakoś szczególnie trudne. Pomimo wszystko, gotowanie opiera na elementarnych procesach chemicznych. Poprzez wystawienie pewnych substancji organicznych na działanie tlenku wodoru, w odpowiednich warunkach termodynamicznych...

Kapitanowi Hansonowi opadła szczeka. Wytrzeszczył na mnie oczy.

— O...o czym on gada, Sparks?

— Chodzi mu o to — przetłumaczyłem, — że według niego gotowanie jest łatwe. Wszystko co trzeba, to woda, ciepło i produkty żywnościowe.

— Och! — Stary uśmiechnął się złowieszczo. — W takim razie, sprawa jest rozwiązana. Panie Biggs, właśnie zyskał pan sobie nowe prywatne biuro i nowy uniform. Obie te rzeczy znajdzie pan pod wszystkimi pokładami, trzecie drzwi po pańskiej prawej ręce.

Tym razem przyszła kolej na Biggsa, na zszokowany wygląd. Jego stercząca krtań, wykonała Immelmanna w tył.

— Słucham? Ale, ja nie jestem kucharzem, panie kapitanie. Jestem pańskim pierwszym oficerem!

— Pan był moim pierwszym oficerem — chłodno poprawił go stary — jeszcze parę chwil temu. Regulamin IPS mówi, że „do decyzji kapitana należy powierzanie każdemu marynarzowi lub oficerowi, dowolnych obowiązków w sytuacjach awaryjnych”. To jest sytuacja awaryjna. A poza tym, dosłownie przed chwilą oświadczył pan, że gotowanie jest po prostu kwestią wystawienie pewnych jakichś-tam-substancji na działanie czegoś-tam-innego. A więc... — Zatarł swoje włochoate łapska, w geście kończącym dyskusję. — To wszystko. Do kuchni, panie Biggs!

Stary oczywiście miał rację. Miał takie prawo. Ale najbardziej zabawną częścią tej całej sprawy okazało się to, że zmuszony do podporządkowania się, Lancelot Biggs, zrobił to co mu polecono!

Ładunek z Wenus

Pierwszym posiłkiem był obiad, serwowany w południe, czasu ziemskiego. Zszedłem do mesy, zastanawiając się co się stanie i spodziewając się najgorszego. Czekał mnie największy szok w życiu, a sytuacje wstrząsowe nie są bynajmniej jakąś nieznaczącą częścią życia operatora radia na luguze kosmicznym.

Pan Lancelot Biggs wyczarował prawdziwą ucztę! Dostaliśmy duszonego kurczaka w śmietanie, gorące ciastka, kandyzowane słodkie ziemniaki, na przystawkę z duszonymi *clab*, placek z rodzynkami w kreolskim stylu, oraz najlepszą cholerną kawę, jaką kiedykolwiek podano na starym rozklekotanym *Saturnie*.

Co sobie pomyśleli inni ludzie z załogi, nie miałem pojęcia. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Nawet najwięksi pyskacze, byli tak zajęci napychaniem sobie gęby żarciem, że konwersacja zdechła, jak śledź na Marsie. Ale kiedy rozepchałem sobie pas do ostatniej dziurki duszonym kurczakiem, powlokłem się ociężale do kuchni i spotkałem z panem Biggsem.

— Panie Biggs — stwierdziłem oskarżycielskim tonem — naprawdę trzymał pan karty przy orderach! Dlaczego nie powiedział pan nam wcześniej, że potrafi pan gotować takie posiłki?

Zaszurał zmieszany nogą. Odparł:

— Czy obiad był w porządku, Sparks?

— W porządku? Był wspaniały! Nie miałem takiej wyżerki od czasu kiedy byłem dzieckiem.

Ładunek z Wenus

Wyglądał jakby odetchnął z ulgą.

— Bardzo się cieszę. Ponieważ, widzisz, to był pierwszy posiłek, jaki przygotowałem w życiu.

— To był pierwszy... co!

— Mmm-hmm! Ale tutaj w kuchni jest mnóstwo książek kucharskich. A ja pomyślałem sobie, że jeśli już muszę to robić, to postaram się zrobić to jak najlepiej... — Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. Od czasu do czasu zastanawiałem się trochę, czy ktokolwiek z nas rozumie, Lancelota Biggsa, tego dziwnego, patykowatego geniusza. To była właśnie jedna z takich chwil. — O...okazało się, że to jest całkiem interesujące, Sparks, muszę ci się przyznać. To dokładnie tak, jak powiedziałem kapitanowi Hansonowi – po prostu kwestia elementarnej chemii. Garnki i patelnie są próbkami, piec to ogromny palnik Bunsena.

Stwierdziłem z podziwem.

— Muszę panu przyznać jedną rzecz, panie Biggs. Wierzy pan, że należy trzymać się teorii, co nie?

— Ależ oczywiście. „Najpierw trzeba stworzyć teorię”; to wielki sekret sukcesu każdego przedsięwzięcia. — Wyglądał na zadowolonego i lekko rozemocjonowanego. — Będziemy mieli dobrą podróż powrotną, Sparks. Tu jest mnóstwo jedzenia, z którym można sobie poeksperymentować. A w ładowniach...

W tej właśnie chwili usłyszałem swój numer wybykiwany przez głośniki systemu komunikacji wewnętrznej. Wszedłem do systemu i zawołałem:

Ładunek z Wenus

— Tu mówi Sparks. Co się dzieje?

— Sparks? — To był mój zmiennik, wzywający mnie z kabiny radiowej. — Lepiej chodź tu na górę, i to szybko. Komunikat z Sun City, i jak mi się wydaje to złe wieści.

— Zaraz będę u ciebie — krzyknąłem. Rzuciłem Biggsowi krótkie „Na razie!” i pomknąłem na górę po drabince sznurowej do swojej wieżyczki. Był tam mój zmiennik, razem z kapitanem Hansonem i jego zastępcą, porucznikiem Toddem. Cała trójka wyglądała trochę ponuro, trochę groźnie i bardziej niż trochę na wystraszonych. Mój zmiennik wcisnął mi pasek z wiadomością, do ręki. To był zaszyfrowany przekaz z portu kosmicznego Sun City. Znałem ten kod równie dobrze jak znałem język angielski czy uniwersalny, a więc odczytałem go na głos.

„HANSON, DOWÓDCA IPS SATURN, W DRODZE Z WENUS NA ZIEMIĘ. NATYCHMIAST ZAWRACAĆ ABY DOŁĄCZYĆ DO KONWOJU. DONIESIONO O OBECNOŚCI PIRATA HAKE’A NA WSPÓŁRZĘDNYCH TRZY PIĘTNAŚCIE PLUS DZIEWIĘĆ ZERO DZIEWIĘĆ NA WASZEJ TRAJEKTORII LOTU.” Podpisana była „Allonby, Komendant RKBK”.

Gapiłem się na kapitana Hansona, zastanawiając się czy moja twarz była taka blada, jak powinna przy ciasnym węźle w żołądku. Stwierdziłem:

— Hake! Runt Hake!

Hanson dorzucił:

— Tak, ale to jeszcze nie są najgorsze wiadomości, Sparks. Proszę mu powiedzieć, panie Todd.

Ładunek z Wenus

Todd zwilżył wargi i wykrztusił:

— Jesteśmy... jesteśmy w poważnych kłopotach, Sparks. Dwadzieścia minut temu skończyliśmy maksymalnie przyspieszać i wyłączyliśmy silniki, żeby dalej lecieć po zajętej orbicie. A ponieważ mieliśmy – czy też raczej myśleliśmy, że mamy – przed sobą dziewięć dni lotu w bezwładności, powiedziałem głównemu inżynierowi Garrity’emu, że może część z nich rozmontować. Nie mamy hipatomika trzy.

To ciągle niczego nie wyjaśniało. Powiedziałem:

— A więc, rozebrał go na części. I co z tego? Przecież może poskładać go z powrotem, co nie?

— Nie. Stwierdziliśmy, że obudowa jest zużyta, stopił ją do ponownego odlewu. Nie... nie damy rady jej odtworzyć przez co najmniej dwa dni!

Na potrzeby nowicjuszy prosto z Ziemi, którzy nie rozumieją *lingo*, pozwólcie że powtórzę to maksymalnie prostymi słowami. Byliśmy w cholernych kłopotach! Hipatomiki to silniki, które poruszają statkiem kosmicznym. W tym przypadku jeden z nich wykazywał oznaki wadliwego działania. Kiedy statek leciał przez kosmos „lotem bezwładnym”, żeby tak to określić, inżynierowie rozmontowali źle działający silnik oraz stwierdzili, że jego obudowa wymaga odlania na nawo, i stopili ją. Tak jak powiedział Todd, zajmie to dwa dni – prawdopodobnie nawet więcej – wykonanie ponownego odlewu,

Ładunek z Wenus

zmontowanie z powrotem hip-a, i dopiero wtedy będziemy mogli włączyć napęd.

Jeszcze gorsza była wiadomość o Hake'u! Runcie Hake'u. Na szerokich przestrzeniach między planetami grasują piraci i piraci. Niektórzy z nich są swoimi ludźmi, jeśli jakiegokolwiek przestępcę można nazwać „swoim człowiekiem”. Jak Lark O'Day, na przykład, ten wesoły, uśmiechnięty bandyta, który zawsze dawał kapitanom lugrów podpisany kwit na skradzione ładunki. I który kiedyś puścił wolno frachtowca-trampa, kiedy kapitan wyznał mu, że włożył w ładunek oszczędności całego życia. Który innym razem zatrzymał pasażerski superliniowiec, aby przeprowadzić szybką akcję, skradzenia pocątku pewnej uroczej pasażerki, świeżo koronowanej „Miss Universe”.

Ale inni byli skunksami, podłymi psami i... no cóż wymienić tu można jeszcze wiele innych naprawdę paskudnych stworzeń, które przychodzą na myśl. A potem należy pomnożyć to przez dziesięć, i mamy Runta Hake'a.

Runt Hake był zabójcą. Pozostałością z dawnych, niegodziwych czasów, kiedy główną myślą ludzi było zabijanie, wojna i przemoc. Został piratem nie tyle z powodu wartości ładunków, które mógł zrabować, ale dlatego że lubił walkę. Miał do tego w sobie jakąś sadystyczną żyłkę. Jego wyobrażenie dobrej, wspaniałej zabawy, polegało na abordażu frachtowca – takiego jak *Saturn* – zabraniu z ładunku tego co mu było potrzebne i wysadzenia dziury w kadłubie, powodującej powolny wyciek powietrza.

Ładunek z Wenus

Po – o czym należy wspomnieć – zabraniiu wszystkich szalup i skafandrów kosmicznych, swym nieszczęsnym ofiarom. Kiedyś, na asteroidzie Saragossa, widziałem statek, który został przedziurawiony przez rzeźników Runta Hake'a. Jego załoga ciągle była na pokładzie. Ale już nie jako możliwe do rozpoznania istoty ludzkie. Surowe, zamrożone ochłapy ciała, rozerwanego przez ciśnienie.

Och, tak. Ten Runt Hake, to był kapitalny gość. A teraz, sparaliżowani i bezradni dryfowaliśmy dokładnie po trajektorii, na której na nas czekał.

Kapitan Hanson oznajmił ponuro.

— Oczywiście, nie możemy z tym zbyt wiele zrobić. Mamy jedno sześciomilimetrowe działko rotorowe na przedzie. Możemy mu z niego przyłożyć.

— I pozwolić żeby rozwalił nas na kawałki — wtrącił Todd — swoimi działami laserowymi. Nie, panie kapitanie, to nie ma sensu. Ale co z Ampie? Jeśli wystawimy naszego Ampie, może...

„Ampie” to ten dziwny, pochłaniający energię zwierzak z Wenus, którego niezwykły apetyt na energię elektryczną daje osłonę statkom przechodzącym przez warstwy Heaviside'a różnych planet. To nie był tak kompletnie zły pomysł. Ale Hanson pokręcił głową.

— Nie, to nic nie da. Ampie nie wytrzyma trafienia promieniem cieplnym. Możemy zrobić tylko jedno. Wysłać wiadomość do ochrony konwoju, żeby przybyła tutaj jak naj-

szybciej – i mieć nadzieję, że dotrze do nas zanim wpadniemy na Hake'a.

Taka była również i moja opinia. Odesłałem swojego zmiennika do diabła ze stanowiska i puściłem w ruch to całe wariactwo. I, daję wam słowo, wypełniłem sygnałami SOS cały eter, dodając do równości parę PDQ¹. Odebrałem potwierdzenie od Sun City i posłałem im w odpowiedzi pośpieszne wyjaśnienie. Odesłali mi wiadomość, że krążownik konwojujący leci do nas z najwyższą prędkością, oraz żebyśmy się nie bali...

Ha! A co ja mogłem na to poradzić, że trzęsły mi się kolana?

Byla jedna rzecz, co do której można było być pewnym, że Lancelot Biggs to zrobi. Chodzi tu, oczywiście – o wetknięcie nosa w niewłaściwej chwili. I właśnie dokładnie wtedy kiedy wykańczaliśmy resztki papierowych chusteczek do ocierania łez, drzwi stanęły otworem i któżby się w nich mógł pojawić, jeśli nie pan Biggs, pierwszy-oficer-na-zmywaku! Jego twarz, w przeciwieństwie do naszych, promieniowała radością i zachwytem. Na ustach miał uśmiech, rozciągający się od ucha do ucha i z powrotem. Zarechotał głośno:

— Hej, panie kapit...

¹ PDQ – Pretty Damned Quick (przyp. tłumacza).

Ładunek z Wenus

— Proszę stąd wyjść! — wyjęczał kapitan Hanson. — Muszę pomyśleć.

— Ale, niech pan tylko popatrzy! — Biggs wyciągnął otwartą łapę. Spoczywała na niej mała szara myszka. Położył ją przed sobą na podłodze. — Proszę popatrzeć, co znalazłem w Pojemniku Nr 4. Zachowuje się tak cholernie zabawnie...

— Proszę się stąd wynosić! — powtórzył stary, jeszcze bardziej ponuro. — Jeśli stracę przez pana cierpliwość...

Biggs powiedział „Zachowuje się zabawnie...” i, żeby nie skłamać, rzeczywiście tak było. Zwykle, jak wiecie, mysz jest najbardziej płochliwym z żyjących stworzeń. Jeśli umieści się ją w takim miejscu jak to, otoczoną przez gigantycznych ludzi, to zacznie uciekać panicznie w najciemniejszy kącik.

Ale ten mały głuptas, nie uciekał. Prawdę mówiąc, to myszka celowo ruszyła ku najbliższemu człowiekowi, akurat był nim Todd, i zaczęła obwąchiwać mu but! Tak jakby porucznik był jej starym dobrym znajomym! Pan Biggs ponownie zachichotał.

— Widzicie to? Panie kapitanie, wie pan dlaczego ona zachowuje się w ten sposób? Powiem panu. To przez...

— *Panie Biggs!* — Twarz starego była ogniście czerwona ze wściekłości. — Nie czas teraz na te nonsensy. Za kilka godzin, a niewykluczone nawet że minut, możemy być martwi! A teraz, po raz ostatni, proszę, aby pan się stąd wyniósł!

Biggs, odrobinę oszołomiony, odparł „Tak jest, panie kapitanie!”. Zabrał swoje dziwnie zachowujące się stworzonko z

miejsca, w którym przycisnęło miękki nosek do sznurowadła butów Todda, wsadził je do kieszeni i zaczął wycofywać się w stronę drzwi. Dochodząc do nich, rzucił mi błagalne spojrzenie. Skinąłem mu głową; a potem w chwili kiedy nikt nie zwracał na mnie uwagi, dołączyłem do niego na zewnątrz.

— O co chodzi, Sparks? — zaczął się dopytywać.

Wygarnąłem mu wszystko, z grubej rury. Miał prawo wiedzieć. Każdy człowiek ma prawo wiedzieć, kiedy nadciąga jego czas na to, by powiedzieć „do widzenia”.

— Ale proszę nie mówić niczego załodze — ostrzegłem go. — Stary zrobi to, kiedy uzna, że nadeszła właściwa chwila.

Oczy Biggsa zrobiły się wielkie i okrągłe.

— Runt Hake! Jezu, nic dziwnego, że stary był taki przybity. — Zapadł w jeden ze swych charakterystycznych dla siebie okresów milczenia. Potem nagle rzucił: — Hej!

— Hej, co?

— Mówią, że Hake cholernie lubi się popisywać. Zanim je przedziurawi, lubi na zdobytych statkach trzaskać z biczem, zamawiać na nich wspaniałe uczyty, i tym podobne rzeczy, ...

— No, i? — powiedziałem. — Myśli pan, że może udałoby się go jakoś otruć? Niech pan nie będzie głupi. Każe panu wcześniej spróbować wszystkiego, co mu pan poda.

— Zostawmy to. Nie jestem pewien, czy mój pomysł ma jakikolwiek sens – jeszcze nie! Ale czy masz może jakąś książkę o fizjochemii?

— W moim biurze.

Ładunek z Wenus

— Świetnie. Znajdziesz ją dla mnie, co? Później ci wyjaśnię.

No cóż, przyniosłem mu tę książkę, a on wcisnął ją do kieszeni i zniknął udając się w stronę kambuza, poruszając się na swych szcudłach jak bocian. Teraz jednak nie miałem czasu na to, by naśmiewać się z fizycznych, czy umysłowych dziwactw Biggsa.

Dlatego, że moje uszy wychwyciły odgłosy, których bynajmniej nie chciały usłyszeć. Dźwięk zgrzytania metalu o metal w pobliżu wjazdu wejściowego. Walenie pancерnej pięści w superstop, astmatyczne sapnięcie śluzy powietrznej, krzyk marynarza, zakończony zduszonym gulgotem...

Popędziłem z powrotem do kabiny radiowej.

— Panie kapitanie! — krzyknąłem. — Koło śluzy! Ktoś tam jest. To musi być...

I był. Runt Hake i jego piraci.

Nie myślcie sobie, że Runt Hake wyglądał, na zabójcę. To prawda, trzymał w ręku pistolet laserowy, kiedy się do nas zbliżał, poruszając się płynnie i lekko korytarzem. Sześciu ludzi za nim, także trzymało swą broń ręczną uniesioną i w gotowości, podczas gdy kolejna szóstka rozeszła się innymi przejściami do maszynowni i wieżyczek sterujących. Ale kiedy Hake zbliżał się do nas, odrzucił do tyłu kwarcytowy hełm skafandra, i zobaczyłem, że włosy miał w kolorze jasnego

Ładunek z Wenus

złotego zboża, usta wygięte w czymś podobnym do miłego uśmiechu, zaś jego policzki były gładkie, delikatne, chłopięce.

Jego głos również brzmiał łagodnie. Oznajmił:

— Obiecuję pan nie stawiać oporu, panie kapitanie? To byłoby rozsądne posunięcie.

Kapitan Hanson odparł:

— Hake, poddam swój statek i oddaję go w twoje władanie. Tylko nie rób krzywdy moim ludziom. To wszystko, o co proszę. Moi ludzie nie zasłużyli sobie...

— Ależ, panie kapitanie! — cienkie i małe brwi pirata, uniosły się lekko w łuk. — Chyba trochę przedwcześnie wygłasza pan swoje apele. Dopiero przed chwilą przybyliśmy. Pozostało tak wiele rzeczy do załatwienia zanim... ehmm... zaczniemy cieszyć się naszymi drobnymi przyjemnościami.

Kiedy wypowiadał te słowa, zrozumiałem dlaczego ludzie przeklinali imię Runta Hawke'a. Nie było tego widać na jego twarzy. Złote włosy, różowe policzki, delikatne usta – wszystko to skrywało i upiększało jego zepsute wnętrze. Prawdziwy Hake wyglądał mu z oczu. Te tańczące, błyszczące, świecące oczy, które jaśniały płomieniem zachwyty na samą myśl o tym, co miało się tu wydarzyć...

On był diabłem. Niewielkiego kalibru, może, ale bez wątplenia diabłem. Teraz już byłem pewien, że opowiadane o nim historie były w pełni prawdziwe; że po tym człowieku nie mogliśmy spodziewać się litości. Mógł się z nami przez chwilę zabawiać, igrając na koci sposób. Potem odleci. A my zosta-

Ładunek z Wenus

niemy. Jak zniszczone zabawki, które widziałem na Saragosie.

Przemówił ponownie. Delikatnie, melodyjnie, tak jakby był raczej jakimś urzędnikiem w porcie przeładunkowym na Ziemi, a nie piratem kosmicznym taksującym swoją „zdobycz”.

— Ładunek, panie kapitanie, oczywiście jest mój. Już za chwilę, moi ludzie zaczną go przesyłać na nasz statek, unoszący się koło waszego. Ale jest jeszcze parę innych rzeczy, które będziemy chcieli zrobić, podczas pobytu na pokładzie u was. Życie w kosmosie, przez całe miesiące bez przerwy, jest bardzo samotne. No i nie jadamy zbyt luksusowo. Macie pewnie, jak sądzę, niezłe wypełnioną spiżarnię? Dobre jedzenie, może trochę wina, żeby pogłaskać podniebienie?

Hanson spróbował ponownie.

— Mamy, Hake. I to wszystko będzie należało do ciebie, jeśli obiecasz mi, że nie skrzywdzisz moich ludzi. — Zawahał się. — Zabierz mnie ze sobą jako zakładnika, jeśli chcesz. To byłoby w porządku. Ale...

— Ależ nie, panie kapitanie. Coś takiego nigdy nie mogłoby się wydarzyć. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostanie pan – ze swymi ludźmi. — I znowu w oczach Hake’a pojawiło się to małe, tańczące światełko. — Widzi pan, panie kapitanie, wielu ludzi zna moje nazwisko, i jak rozumiem, zyskałem sobie pewną reputację. Ale nikt, nigdy, nie widział mojej twarzy – i potem przeżył. Byłoby to niefortunne, gdyby ktoś mógł mnie zidentyfikować, czyż nie?

Ładunek z Wenus

Odwrócił się do swych podwładnych.

— Rozbroić ich — wskazał na nas niedbałym gestem. — A kiedy ładunek zostanie przetransferowany, niech nasi ludzie przybędą na kolację. Zjemy ją na pokładzie *Saturna*.

Wam, nowicjuszom z Ziemi, ta część wydaje się dziwna, co? To, że nie stawialiśmy żadnego oporu tej inwazji Hake'a? No cóż, nie mogę was za to winić. Ja również czytuję *Martian Tales* i *Spaceways Weekly*. Pisarze publikujący w tych magazynach chcieliby, abyście uwierzyli, że każdy kapitan frachtowca jest twardzielem dorównującym Johnowi Paulowi Jonesowi. Ale pomyślcie tylko. *Saturn* był niezdarną starą krową w porównaniu ze zwinnym, szybkim statkiem Hake'a. Hanson przyjął jedyną sensowną politykę. Uspokajać pirata, być dla niego miłym i mieć nadzieję, że uda się odwlec jego mordercze plany, aż do czasu kiedy dotrze do nas krążownik RKBK.

Jak dotąd, przez ponad dwie godziny, rozbrojeni i z ponurymi minami, siedzieliśmy i kręciliśmy młynki palcami, podczas gdy ludzie Hake'a, wykorzystując naszych marynarzy z załogi maszynowej pod strażą blasterów i rozsadzaczy, przenosili co bardziej wartościowe części przewożonego przez nas ładunku, na swój statek. Nie zabierali ze sobą ciężkich i wielkich rzeczy. Tylko niewielkie drobiazgi, które mogły potem zostać upłynnione na lewo, z kryjówki na jednej z asteroid o zwariowanej, niemożliwej do przewidzenia orbicie.

Ładunek z Wenus

W międzyczasie, Hake dokonał przynajmniej jednego specjalnego wypadu. Na dół, do kambuza. Zabrał ze sobą Todda, starego i mnie, tak żeby przez cały czas mieć nas na oku. Na dole znalazł Lancelota Biggsa, spokojnie coś czytającego.

Hake odezwał się do niego, w ten swój miękki, mrużący sposób:

— Ty... ty jesteś kucharzem na tym statku?

Biggs odparł:

— Mmm-hmm.

— Masz zwracać się do mnie — zasugerował niewielki kryminalista — per „panie kapitanie”. No dobrze, kuchto. Chcę, żebyś przygotował dla nas jedzenie. *Dobre* jedzenie. Świeże mięso i warzywa. Nie ma pan nawet pojęcia... — to ostatnie rzucił do Hansona — ...jak bardzo mogą się znudzić koncentraty w puszkach.

Hanson tylko groźnie na niego popatrzył. Ale Biggs wyglądał na zmieszanego. Oznajmił:

— Będę... Jeśli życzy pan sobie dużego posiłku, będę musiał wyciągnąć produkty z ładowni. Ta kuchnia jest niewielka... — Rozejrzał się wokół siebie z bezradnością.

Hake skinął głową.

— Załatwione. Pamiętaj tylko, żeby nie przyszły ci do głowy jakieś średniowieczne... ehmmm... toksykologiczne pomysły. Przypominam sobie, jak kiedyś szef kuchni ze *Spicy*, próbował czegoś w tym guście. Strasznie wrzeszczał... Nigdy tego nie zapomnę.

Ładunek z Wenus

Założę, się że nie zapomni. Wiesz jedna. Ale, miałem nadzieję, że Biggs zapamiętał co mu powiedziałem i zrozumiał, że mam rację. Nie będzie próbował żadnych głupich pomysłów z Runtem i jakoś z tego wybrnie.

Zdawał się rozumieć, dzięki Bogu. Obiecał, wytrzeszczając oczy:

— Postaram się najlepiej jak tylko potrafię... panie kapitanie. Oczywiście, to musi zająć trochę czasu.

— Mamy czas i możemy go poświęcić — zgodził się Hake.

— Dobre jedzenie, tego właśnie potrzebujemy. A teraz, panowie...?

Skierował nas gestem z powrotem do kabiny we wieżycy. Zaczęliśmy opuszczać kuchnię. Miałem przejść przez drzwi jako ostatni. Kiedy to robiłem, poczułem rękę na swoim boku. To Biggs wsuwał coś do mej kieszeni. Szepnął mi do ucha:

— Sparks... daj po kawałku każdemu z naszych ludzi. Powiedz im, żeby to zaczęli żuć!

Przez chwilę moje nadzieje, buchnęły wysokim płomieniem. Nie wiedziałem, jakie asy Biggs chował w swym rękawie, ale ośmielałem się marzyć, że wymyślił jakiś sposób pokonania niebezpieczeństwa piratów. Jednak kiedy w kilka minut później udało mi się zniknąć z oczu pilnujących i zerknąć,

Ładunek z Wenus

co mi wrzucił do kurtki, moje nadzieje zgasły równie nagle, jak się rozbudziły.

To była tylko pepsyna. Zwykła, normalna pepsyna, produkt uboczny rozciągających się na powierzchni Wenus rancz.

Miałem już niemal wywalić to badziewie w cholerę. Myślałem, że może zmartwienie, rozpacz spowodowały, że Biggsowi odbiła szajba. Potem jednak przemyślałem sprawę jeszcze raz. Pomimo wszystko, mógł mieć jakieś powody. A w obecnej sytuacji, każda szansa była warta wypróbowania...

I tak, powoli, zacząłem rozdzielać dookoła ten towar. Udało mi się przekazać połowę posiadanego zapasu Dougowi Enderby, stewardowi, wraz z instrukcją, aby puścił go po kryjomu dalej. Między pokładami spotkałem głównego inżyniera Garrity'ego, i dałem mu trochę, dla jego ludzi z maszynowni. Todd wziął również kawałek, dziwiąc się, niechętnie, ale wsadził go do ust, kiedy zasygnalizowałem mu, żeby to zrobił. Ja? No pewnie, też się poczęstowałem. Pomimo wszystko, to całkiem nieźle smakowało. A człowiek mógł równie dobrze napotkać swój los, ze smakiem czystości w ustach.

Jedynym z ludzi, któremu nie mogłem przekazać potajemnie jego kawałka, był kapitan Hanson. Runt Hake przez cały czas pilnował starego, jak oka w głowie. Prawdę mówiąc, nie spuszczał z oka żadnego z nas. Ten mały, morderczy skunks, nie przegapił najdrobniejszego szczegółu. Tuż przed podaniem kolacji, spowodował, że serce stanęło mi w piersi, pytając:

Ładunek z Wenus

— Co ty tam tak żujesz, Sparks? Gumę?

W jednej chwili przeraził mnie i pozwolił odetchnąć z ulgą. Skinąłem głową:

— Taaa — stwierdziłem. Potem nie ośmieliłem się nie zapytać: — Chce pan kawałek?

Wzdrygnął się lekko.

— Barbarzyński zwyczaj. Nie znoszę gumy.

Boże, mieliśmy naprawdę szczęście!

Tak więc, jak już powiedziałem, Biggs zadzwonił na kolację i wszyscy zeszliśmy do mesy. Co za ironia losu! Znaleźliśmy się tutaj razem, dwudziestka uczciwych, ciężko pracujących marynarzy kosmicznych i podobna liczba piratów, siedząc przy jednym stole i jedząc ten sam posiłek.

Wariactwo? Pewnie, ale taki właśnie był Hake. Tak jak powiedział pan Biggs, pirat lubił się popisywać. Nie myślcie jednak, że podejmował on jakiegokolwiek ryzyko. Byliśmy bezbronni, a jego ludzie chodzili obwieszani bronią jak choinki. A co do towarzyskiego nastroju, był on kompletnie na pokaz! Na pozór wszyscy zbrataliśmy się przy biesiadnym stole, ale my ludzie z Saturna byliśmy tylko tuczeni na rzeź, która miała nastąpić później.

A jednak... no cóż, znacie ten stary kawał. „Skazani przynajmniej zjedzą coś solidnego”. I tak właśnie zrobiłem ja, tak samo również większość moich towarzyszy. Ponieważ pan

Ładunek z Wenus

Lancelot Kucharz zaprezentował po raz kolejny c.b.d.o., że gotowanie jest jednak niczym innym jak tylko stosowaną chemią.

Podano nam najpierw, tak żeby połechtać podniebienie, odrobinę chłodnego bulionu z lekkim sherry. Potem, ponętny paseczek pieczonego dorsza, podany z Moselle Erdener Treppchen, i żebyście widzieli, jak staremu poszła para z uszu! (Zachomikował to na swoją złotą rocznicę). A następnie kurczak sauté Florentine...

To były tylko preludia. Głównym punktem programu był comber z jagnięcia, któremu towarzyszył groszek w mięcie i ziemniaki Parisienne, podany razem z Pommard 1974. Na przystawkę sałatka Alma. Na deser było, jak powiedział mi później Biggs, Plombière a l'Havane Friandises (ananasy, banany, mrożony słodki sos custard i ani grama cholernej tapioki!)

Do tego podano Piper Heidesieck, '65. Potem była mała czarna, a dalej likiery...

I w tym właśnie miejscu Runt Hake zakrzyknął stop.

— Trunki zabierzemy — oznajmił — na nasz statek. Nie chcemy przecież pijaństwa na pokładzie, kiedy... ehmmm... będziemy robili, to co teraz jest konieczne. Kapitanie Hanson?

Skinął wyraźnie głową w stronę pomieszczenia we wieżycie. Wstałem również, podobnie Todd. Ku mojemu zaskoczeniu kiedy wchodziliśmy na górny pokład, do naszej grupy

Ładunek z Wenus

przyłączył się Biggs. Hake oświadczył z niechętnym żalem, którego nie zapomnę do końca życia.

— Panie kapitanie, cieszyliśmy się naszym bankietem, niesłychanie. Ale rozumie pan, że nie mogę pozwolić na to, aby ktokolwiek stanął na drodze mych kolejnych... ehmmm... obowiązków. A więc...

Hanson odparł kamiennym tonem

— Hake, czy da nam pan szalupę przed uszkodzeniem Saturna?

Hake skłamał:

— Panie kapitanie, planowałem dokładnie to zrobić. Ale nastąpił pewien bardzo niefortunny incydent... zdaje się, że paru moich ludzi wysadziło dziury we wszystkich pańskich szalupach. Oczywiście, jeśli mimo wszystko chciałby pan poszukać dla was szansy w uszkodzonej łodzi...?

Och ten Hake, on potrafił przyłożyć! Popatrzyłem na Todda i dostrzegłem, że w jego oczach odbija się ta sama myśl, która i mnie przyszła do głowy. To była nasza ostatnia szansa. Jeśli teraz nie dopadniemy Hake'a, potem będzie już za późno. Spiałem się. Gdyby udało nam się schwytać herszta piratów, być może jego ludzie nie ośmielą się niczego zrobić, w obawie, żeby go nie zranić. A Hake, chociaż miał szybką rękę, może nie zdoła dorwać nas obu, zanim...

W tym momencie, ponownie zainterweniował Lancelot Biggs. Rzucił mi krótki, ostry rozkaz:

— Nie! Nie, Sparks!

A potem do Hake'a, spokojnie, niemal czule:

Ładunek z Wenus

— Ależ, panie Hake... przecież to wszystko, to jedna wielka pomyłka, nieprawdaż? Te tępe, ohydne stare osły myślą, że pan im chce zrobić krzywdę! A przecież pan w ogóle nie ma takiego zamiaru. Czyż to nie starzy głupcy?

W odpowiedzi – czapki z głów, ludziska – w odpowiedzi delikatne usteczka Runta Hake’a, zaczęły się wykrzywiać do dołu! Tak, wykrzywiać! Zacisnęły się jak usta dziecka, oczy mu się zmarszczyły, a on sam zaczął beczeć!

— Zrobić im krzywdę? — skarżył się płacząco. — Ja, miałbym zrobić im krzywdę? Przecież nigdy bym czegoś takiego nie zrobił! Ja ich kocham! To moi najlepsi kumple.

Odrzucił od siebie pistolet laserowy, wyciągnął rękę i poklepał Biggsa po policzku!

Usłyszałem jak stojący koło mnie porucznik Todd wyszeptał ochryple:

— Wielcy bogowie Grecji, co się dzieje!

Ja sam przez moment zupełnie osłupiałem. Zachowałem jednak na tyle zimnej krwi, żeby schylić się i podnieść z podłogi pistolet Runta Hake’a, zanim ta szalona chwila przerwy nie minęła.

— Jemu odwaliło! — zapiszczałem. — Łap, go Todd! Panie Biggs, proszę ze mną, znajdziemy jego ludzi...

Ale Biggs oznajmił spokojnie.

— Wyluzuj, Sparks. Nie pali się. Widzisz?

Ładunek z Wenus

Podszedł do ściany; włączył pstryknięciem płytę wizyjną, która pokazała wnętrze mesy. A tam, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą, dwudziestka piratów kosmicznych o zakazanych gębach trzymała straż nad naszą załogą, teraz nasi marynarze stali, gapiąc się ze zmieszaniem, niczego nierozumiejącymi twarzami, na dwudziestu ludzi, którzy wyglądali i zachowywali się jak gromada rozkosznych szczeniactków!

Padali sobie w objęcia, klepali się nawzajem po ramionach i twarzach, szepcząc do siebie czule słówka. To było idiotyczne. Więcej – to było żenujące! W jednym z kątów brodaty, jednooki bandzior kołysał kogoś ze swych kompanów na kolanie. Inny krzepki osiłek, tak wielki, że mógłby rozedrzeć człowieka na pół gołymi rękoma, bawił się ze swym kumplem w koci-łapci!

Przełknąłem ślinę, popatrzyłem jeszcze trochę i przełknąłem ponownie. Wykrztusiłem:

— Ale, co... co...

Nagle przerwał mi głos Biggsa:

— Sparks! Nie dałeś kapitanowi jego kawałka pepsyny!

— Nie miałem okazji. Ale jak...

I wtedy to zobaczyłem. Kapitan i Runt Hake siedzieli razem w jednym fotelu i szeptali do siebie po cichu czule, głaszcząc się pieśczośliwie nawzajem po włosach. Dokładnie wtedy kiedy na nich spojrzałem, stary nachylił się i poczęstował pirata długim, serdecznym całusem w czoło!

Na szczęście w tej samej chwili nadeszło tak bardzo potrzebne otrzeźwienie. System komunikacji głosowej obudził

Ładunek z Wenus

się z chrobotem do elektrycznego życia; obcesowy głos wytrzeszczał:

— Wzywam *Saturna!* *Saturn*, ahój! Tu mówi krążownik RKBK *Iris!* Bądźcie w gotowości! Dobijemy do was za dwadzieścia minut...

Po tym, kiedy Runt Hake i jego piraci, ciągle bełkoczący jakieś niespójne czułe oracje, zostali zabrani na statek patrolowy i odtransportowani do oczekującego ich z wytęsknieniem więzienia na Wenus, urządziliśmy sobie pogaduchę w mojej kabinie radiowej. Byli tam Todd, główny inżynier Garrity, Lancelot Biggs i niżej podpisany. A do tego ciągle z zamglonymi oczyma i solidnie oszołomiony kapitan Hanson, który wydawał się tylko z najwyższym trudem powstrzymać od wyznania nam, że jesteśmy jego „drogimi, kochanymi chłopcami” – jak to nam oznajmił już całkiem sporą liczbę razy, w czasie ostatniej mniej więcej godziny.

Nie mogłem jakoś tego wszystkiego rozwikłać. Dlatego od razu spytałem o to Biggsa.

— Ale, co to było, panie Biggs? Wszyscy wiemy, że czegoś im pan dosypał do jedzenia. Czegoś, przed czym zabezpieczyła nas pepsyna. Ale, czego? Przecież żaden narkotyk nie mógł spowodować, żeby ludzie zachowywali się w taki sposób.

Ładunek z Wenus

Biggs wyszczerzył zęby w uśmiechu, a jego jabłko Adama przyjaźnie podskakiwało.

— Nie, to nie narkotyk. Ale związek chemiczny. Prolaktyna, dokładniej mówiąc. Jeśli sobie przypominacie, zacząłem wam mówić o tym, że przewozimy jej ładunek na Ziemię.

— Prolaktyna? — zdziwił się Todd. — A co to takiego?

— Hormon przysadki mózgowej; zarządza uczuciami człowieka. Prolaktyna jest hormonem odpowiedzialnym za całość zachowań związanych z miłością rodzicielską. Powoduje, że koguty wysiadują jajka, kocury dają mleko, a pozbawione mleka samice stają się normalne. Jest powszechnie znana jako kryształ „matczynej miłości”.

— A my — powiedziałem — mieliśmy jej cały ładunek. Jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego musieliśmy żuć tę pepsynę. I dlaczego nie wpadliśmy w to ciepłe mli-mli jak...

Rzuciłem spojrzeniem na starego, i natychmiast uciekłem z powrotem wzrokiem na bok. Patrzył na mnie z czułością.

— No cóż, rozumiecie — wyjaśnił Biggs, — prolaktyna jest czystym białkiem. A czyste białka nie rozpuszczają się w większości substancji, takich jak alkohol, woda, czy inne normalnie występujące w waszej diecie.

— Przygotowałem tę ucztę dla Hake'a i jego głupoli, obficie przyprawiając ją prolaktyną. Ale, jak to mi wcześniej wykazałeś, musiałem znaleźć jakiś sposób, aby ochronić przed działaniem tego hormonu naszych ludzi, co by również i ich pozbawiło zdrowego rozsądku. Rozwiązaniem była pepsyna. Pepsyna rozkłada białka na rozpuszczalne peptony. To dlate-

Ładunek z Wenus

go właśnie jest powszechnie używana jako środek ułatwiający trawienie.

— Drgisłdkdzicikchmwas... — wymamrotał łagodnie kapitan.

— Co? — zacząłem się dopytywać. — Co on powiedział?

Biggs wyglądał na zmieszanego.

— Nie jestem pewien — stwierdził, — ale wydaje mi się, że to było: „Jesteście moimi drogimi słodkimi dzieciaczkami i kocham was bardzo”. Eee... Sparks... może lepiej będzie jeśli wsadzimy go do łóżka, do czasu aż to się zużyje...

I tak to właśnie było. I może nie powinienem wam o tym wszystkim opowiadać; sam nie wiem. Bo stary, kiedy ozdrowiał ze swego zaklęcia „matczynej miłości”, stał się raczej czuły na punkcie całej sprawy. A ja ciągle siedzę na radiu na *Saturnie*.

No cóż, w każdym bądź razie, teraz już wiecie. Ale jeśli kiedykolwiek piśnecie słowem kapitanowi Hansonowi, że wam o tym opowiedziałem, może się to dla mnie niedobrze skończyć. Niewykluczone, że będę musiał łapać pierwszy ekspres na Plutona i brać nogi za pas. Obaj, ja i Biggs. Nie ma zbyt wiele „matczynej miłości” w prawym haku kapitana Hansona!

KONIEC

Szaleństwo Lancelota Biggsa

The Madness of Lancelot Biggs

April 1940

Dopiero co przeszliśmy na Lunar Trzy i właśnie odbierałem ostatnie instrukcje od Joe Marlowe'a, radiowca portu, kiedy panele mojego urządzenia pociemniały i nagle zorientowałem się, że patrzę na zwykły metalowy szmelc. Rzuciłem w związku z tym „Merdejo!”, co w uniwersalnym jest dosyć brzydkim słowem i zacząłem szukać problemu. Wlażłem właśnie na czworaka pod blok audio, kiedy do mojej wieżyczki wkroczył kapitan Hanson.

Zapytał:

— Zgubiłeś coś, Sparks?

— Dwie minuty temu — odparłem. — Niech się pan rozejrzy. Jeśli zobaczy pan coś jasnego, czerwonego i całego pokrytego włochatymi kolcami, to proszę tego nie nadepnąć. To moja cierpliwość.

Stary westchnął.

— Gdyby moje problemy — oświadczył — były równie proste, jak twoje, wycinałbym hołubce przez całą drogę na Wenus. Sparks, masz jakiś egzemplarz Regulaminu Kosmicznego, nieprawdaż?

Kiwnąłem głową w stronę swojej szafki na książki; znalazł regulamin i uważnie zaczął go przeglądać. W końcu pokręcił głową.

Ładunek z Wenus

— Nie ma tu tego — sposepniał. — Jesteś pewien, że to ostatnie wydanie?

— Po prostu, czego pan tam szuka? — spytałem go.

— Tak sobie pomyślałem — rzucił z nadzieją, — że musi przecież być jakiś artykuł, który daje dowódcy statku kosmicznego prawo do ugotowania swojego pierwszego oficera we wrzącym oleju, albo pocięcia go na małe kawałeczki i nakarmienia nim gromady ośmiornic. Ale te głędzące pierdoły, które napisały tę książkę...

I już wiedziałem. Ta sama, stara śpiewka. Nasz kościsty i niewiarygodnie wszechwiedzący przyjaciel, Lancelot Biggs, którego geniusz do wyciągania starego dobrego *Saturna* z najgorszych opresji nie dorównywał jedynie jego zdolności do doprowadzania kapitana Hansona do szału, znów wpadł w kłopoty.

Próbowałem udobruchać starego:

— Ale, na najśłodsze komety, panie kapitanie, co on znowu takiego zrobił? Nie miał przecież czasu, żeby zbyt wiele zmalować. Właśnie wyciągnęliśmy naszego Ampie¹ z ziemskiej warstwy Heaviside'a.

— Co — wycharczał stary — dało mu trzy godziny. Jest to wystarczająco dużo czasu dla pana Biggsa, aby można go było postawić przed sądem pod zarzutem ludobójstwa. Zniosłem wiele wyczynów tego długonogiego stracha na wróble. Wylądowałem przez niego na dywaniku za pogoń za platyną,

¹ Dziwaczne, pożerające energię stworzenie z Wenus, które służy jako tarcza ochronna dla statków kosmicznych przechodzących przez planetarne warstwy Heaviside'a (przyp. red.)

Ładunek z Wenus

o której nam nagadał. Niańczyłem piratów – o czym, tak przy okazji, jeśli kiedykolwiek komuś piśniesz słowem, Sparks, to przerobię cię na siekane... i...

— A ponadto — przypomniałem mu — uratował pańskie paski kapitańskie przy co najmniej dwóch różnych okazjach. Nie wspominając o pańskich finansach i pańskim życiu. Pamięta pan?

— Tym niemniej — oznajmił sztywno stary, — tym razem posunął się za daleko. Rozbił słodkie oczy do mojej córki.

— Pańskiej — powtórzyłem powoli — córki!

— Widziałeś ją. Weszła na pokład w Porcie Long Island i leci na Wenus. — W tym momencie jego zahartowana przez kosmos, twarda twarz. Rozciągnęła się w uśmiechu, który roztopiłby lodowiec. — Nieźle wygląda, co? Niektórzy mówią, że jest podobna do mnie.

— Niektórzy ludzie — rzuciłem w oszołomieniu — powiedzą wszystko, dla śmiechu.

Myślałem o tej dziewczynie. Co za dziewczyna! Pięć i pół stopy śmietanki i atłasu, zwieńczonych włosami w kolorze marsjańskiego zachodu słońca. Oczy jak błękitna mgiełka nad Wenus, tyle że ożywiana słonecznym śmiechem. Pewnie, że przypominała starego! Mieli taką samą liczbę nóg i rąk; mieli po jednym nosie, po parze oczu i uszu – ale na tym mniej więcej podobieństwo się kończyło. Różnica między nimi była taka jak między starym rozklekotanym frachtowcem kosmicznym, takim jak *Saturn*, i nowoczesnym okrętem bojo-

Ładunek z Wenus

wym, o opływowych kształtach. I opływowe kształty, to wyjątkowo trafne określenie!

Stary kwaśno stwierdził:

— No cóż, zdejmij tę wniebowziętą minę ze swej gęby, Sparks. I wyślij na dół specjalną wiadomość ode mnie do pana Romeo Biggsa, bo jeśli ja spróbuję mu to osobiście powiedzieć, to mogę zapomnieć o elementarnej godności osobistej i dać mu takiego kopa, że polecą prosto w asteroidy. Powiedz mu, że następnym razem kiedy złapię go jak robi słodkie oczy do Diane, to dostanie ode mnie bilet w jedną stronę przez służbę powietrzną. To wszystko!

I opuścił wieżyczkę, parszcząc. Patrzyłem za nim rozmarzonym spojrzeniem. I stwierdziłem, że robię coś, czego nie robiłem od czasu kiedy byłem dzieciakiem i dołączając swoje imię do imienia Diane Hanson i odliczając po literach. „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba...”

Wyszło mi „lubi”. Mówiłem wam, że ja też mam swoje problemy...

Po chwili rozległy się odgłosy, jakby trzynogi pelikan szurał w łanie zboża, i do mojej wieżyczki dostojnie wmaszerował Lancelot Biggs, z jaśniejącymi oczyma oraz tym swoim niewiarygodnie wielkim jabłkiem Adama, podskakującym w górę i w dół, jak foton w cyklotronie. Wydawało się, że aż

Ładunek z Wenus

płonął chęcią podzielenia się ze mną sprawami swego przepełnionego serca, ale zamiast tego powiedział:

— Problemy, Sparks?

Rozumiecie już? To właśnie dlatego nic nie mogłem poradzić na to, że polubiłem tego gościa. Natychmiast jak tylko zobaczył, że grzebię w aparacie radiowym, był gotów pomóc. Trudno sobie wyobrazić kogoś takiego jak Biggs. Czasami wydawało mi się, że to najgłupszy śmiertelnik, jaki kiedykolwiek skakał na gravach, ale zawsze w chwili kiedy byłem już gotów odesłać go do wariatkowa, on wystrzelał takim błyskiem geniuszu, że wręcz przygaszał Słońce, tak jakby świeciło w podczerwieni.

Odparłem mu ponuro:

— Chciałbym móc nie zbliżać się do radia bardziej niż trzeba przy porannej gimnastyce. Tym razem poszło w cholerę audio, a ja nie mogę nawet znaleźć, co mu u diabła dolega.

Stanął koło mnie i zaczął się przyglądać. Pociągnął za kilka przewodów, pstryknął paroma przełącznikami i udało mu się oprzeć się o przycisk na kablu linii zasilającej. W końcu stwierdził:

— Problem jest z anodą, co nie, Sparks?

— Tak wygląda. Ostygła i nie mogę wzbudzić w niej żadnego sygnału.

— Te anody, których używasz — zmarszczył brwi — zrobione są ze stopu selenu z aluminium, nieprawdaż?

Ładunek z Wenus

— Zgadza się — potwierdziłem — co do joty. Ale tak powinno być. Są równie niezawodne, jak obiecują to dostawcy. Zawsze są gotowe do działania w mgnieniu oka, dokładnie kiedy ich najbardziej potrzeba.

— Tak właśnie mi się wydawało.

Biggs przemieścił swe niezgrabne długie ciało z jednej nogi na drugą, co było u niego oznaką głębokiego namysłu, którą widziałem już niejednokrotnie wcześniej. A po chwili nagle:

— Widzisz, Sparks — wyrzucił z siebie, — tak sobie myślałem nad tym problemem...

Pośpiesznie wstałem.

— Proszę posłuchać, panie Biggs, jeśli pan nad czymś zaczyna myśleć, to ja w tym miejscu wysiadam. Proszę mi nie mówić, bo złapię bakcyła i znów mnie to wciągnie po uszy. A ja jestem tylko zwykłym, ciężko pracującym operatorem radiowym...

— ...i sądzę, że znam sposób — z zapalem ciągnął dalej, — aby zakończyć kwestie kłopotów z transmisją radiową w kosmosie. Uzywacie niewłaściwego metalu w anodach lamp nadawczych, na tym polega problem! Stopy selenu z aluminium nadawały się do radia we wczesnych latach rozwoju telewizji, ale loty kosmiczne wymagają bardziej wytrzymałych materiałów, które jednocześnie byłyby bardziej czułym receptorem.

— Jak co? — dopytywałem się. — Ogony komet, może?

Ładunek z Wenus

— Jak uran — wyjaśnił prosto Biggs. — Tak jak ci mówiłem, wiele eksperymentowałem. I odkryłem, że uran, który nie jest już tak rzadki, ani taki drogi jak w czasach, kiedy wynalezione zostały anody lamp nadawczych, stanowi idealną anodę.

— Miło mi było — odparłem sarkastycznie — pana zobaczyć, panie Biggs. Każdy dzieciak w szkole wie, że za zdolność przewodzenia elektrycznego w metalach, odpowiadają elektrony swobodne. A w miarę jak liczba elektronów w atomie wzrasta, właściwości metaliczne są coraz gorsze. Metale stają się twardsze, bardziej kruche, bardziej podatne i pogarsza się ich przewodnictwo. Uran, proszę szanownego pana, byłby tym, co my Zaśmiecacze Wszechświata określamy w naszym powszechnie stosowanym żargonie, pierwszorzędnym „gównem”.

Biggs lekko się zarumienił, a jego imponująca krtąń podskoczyła w nierównym szarpnięciu. W oczach pojawił mu się cień krzywdy.

— Czy dałbyś się przekonać, gdybym ci pokazał?

— St. Louis — odparłem.

— Prze... przepraszam?

— Pochodzę stamtąd. Leży w stanie Missouri. — Ale obrzuciłem swój milczący aparat nadawczo-odbiorczy zdesperowanym spojrzeniem. — A jednak... to cholerstwo ciągle nie działa. Gdyby zechciał pan zaprezentować swoje nowe...

— Mam to w swojej kwaterze — oznajmił z zachwytem. — Zaraz po to pójdę! — I ruszył w stronę drzwi.

Ładunek z Wenus

W tej samej chwili przypomniałem sobie, że mam dla niego wiadomość.

— Chwileczkę! — zawołałem za nim. — Właśnie sobie coś przypomniałem. Nasz ukochany kapitan zostawił u mnie dla pana list miłosny. Kazał mi panu powiedzieć, żeby pan ończyłskus odchodypus do jego órkicus.

Biggs zmarszczył brwi.

— To po łacinie? — zaryzykował.

— Świńska łacina¹ — wyjaśniłem mu — i zdrowy rozsądek. Hanson mówi, żeby wbił pan to sobie do głowy, co do jego córki, Diane. A jeśli jeszcze raz coś takiego zobaczy, przerobi pana na pasztet.

Twarz Biggsa wyglądała jak świąteczna kartka w kalendarzu. Widać było, że się powstrzymuje.

— Ale... ale, Sparks, ja lubię tę dziewczynę. I wydaje mi się, że ona lubi mnie.

— Będzie czciła pamięć po panu — powiedziałem mu otwarcie — jeśli nie posłucha pan rozkazów starego. Kiedy wygłaszał swój manifest, wyglądał naprawdę poważnie, a w oczach miał śmierć. Lepiej niech pan zrobi to co powiedział.

— Ale, to jest nie fair — zaprotestował Biggs. — Pomimo wszystko, jestem oficerem i...

— I dżentelmenem — dokończyłem ze zmęczeniem, — dzięki uprzejmości USSA. Taaa, wiem. Ale według mojej oce-

¹ Gra językowa oparta na specyficznych regułach przekręcania słów. Tutaj: wszystkie spółgłoski z początku wyrazu przeniesione zostały na jego koniec i dodałem końcówkę „us” (przyp. tłumacza).

ny, to działa przeciwko panu. Wie pan przecież, że stary nie ma zbyt wiele poważania dla was, absolwentów Pyskaczy. On zdobywał swoje wykształcenie w NRI, zanim w ogóle powstało coś takiego, jak Akademia.

Może dla tych z was, nowicjuszy z Ziemi, którzy właśnie włączyli się w naszą opowieść, powinienem to dokładniej wyjaśnić. Rywalizacja pomiędzy dwiema wielkimi szkołami astronawigacji, jest zjawiskiem, które można porównać tylko z tym, co działo się parę wieków temu, pomiędzy dwiema szkołami wojskowymi: USMA¹ i ISNA².

National Rocket Institute jest starszą uczelnią dla oficerów marynarki kosmicznej. Oryginalnie instytut zamierzony był do kształcenia kadr marynarki handlowej, stał się naturalnym „przyjaznym wrogiem” dla United States Spaceways Academy, kiedy ta instytucja została utworzona, czternaście lat później.

Dzisiaj, istnieje nieustanna przyjazna rywalizacja pomiędzy absolwentami obu szkół; kontrolowana i niezbyt intensywna, oczywiście, w rutynie codziennej pracy, ale rozbłyskająca bardzo konkretnymi uczuciami, co roku jesienią na Ziemi, kiedy obecne zespoły futbolowe obu akademii spotykały się w swej tradycyjnej walce na boisku.

¹ Akademia wojskowa w West Point (przyp. tłumacza).

² Akademia marynarki wojennej w Annapolis (przyp. tłumacza).

Ładunek z Wenus

Mówiono mi, że w dawnych czasach, żołnierze i żeglarze na całym świecie, zbierali się przy swych krótkofalowych radiach, aby wysłuchiwać transmisji z meczu Armia-Marynarka. No cóż, tak samo jest – tyle że jeszcze gorzej – współcześnie w kosmosie. Absolwenci NRI („Rakieciarze” jak ich nazywamy), oko w oko z „Pyskaczami” ze Spaceways Academy. Jest przy tym cała masa jęków, mnóstwo owacji i mnóstwo picia, a czasami zmienia się to wszystko w całkiem znacznych rozmiarów bijatykę na pięści. Na ogół kończy się tym, że przedstawiciele zwycięskiego zespołu urządzają ucztę, zaś absolwenci przegrywającej uczelni zaklinają się, że wygrają „Za rok!”.

Weźmy nasz statek, na przykład. *Saturna*. Ja zdobyłem swój patent na Akademii; podobnie Dick Todd, zastępca dowódcy, zaś Lancelot Biggs ukończył ją dopiero co, w zeszłym roku. Z drugiej strony, główny inżynier Garrity, uzyskał swe szlify w szkole Rakieciarzy, tak jak kapitan Hanson.

Co było kolejnym ważnym powodem, dla którego powinienem coś zrobić – i to naprawdę szybko – żeby doprowadzić radio *Saturna* do stanu używalności. Bowiem doroczny mecz Rakieciarze-Pyskacze miał być nadawany już tylko za dwa dni od dzisiaj, i mój skalp nie byłby wart nawet ceny tupeciku z drugiej ręki, gdyby ci dawni studenci obu szkół, nie mogli wysłuchać transmisji.

Biggs zapienił się i zaczął bełkotać, jak głośnik mojego odbiornika, oczywiście gdyby radio działało, co nie miało miejsca – zresztą rozumiecie o co mi chodzi.

Ładunek z Wenus

— Nie mam w zwyczaju się skarżyć, Sparks. Ale kiedy kapitan Hanson usiłuje wejść pomiędzy Diane i mnie...

Zawołałem:

— A więc to tak! Panie Biggs, proszę przyjąć moje przeprosiny. Nie doceniłem pana. Czyli to już doszło do stanu „Diane”, nieprawdaż?

— To... to... — Biggs zająknął się i zamilkł. Potem powiedział, niemalże pokornie: — Sparks... potrafisz dochować tajemnicy?

— Jak kamień — odparłem mu.

— A więc, powiem ci. To nie pierwszy raz, kiedy Diane i ja się spotkaliśmy. My... znaliśmy się już, zanim znalazłem się na pokładzie *Saturna*. Prawdę mówiąc, ja specjalnie poprosiłem o tę robotę, abym mógł zdobyć przychylność jej ojca; tak byśmy mogli się pobrać.

To wyjaśniało wiele rzeczy. Często zastanawiałem się, dlaczego Lancelot Biggs, którego wuj Prendergast Biggs był wiceprezesem Korporacji, miałby wybrać na miejsce swej służby oficerskiej rozwalającego się, przestarzałego frachtowca Ziemia-Wenus, takiego jak *Saturn*. Teraz wszystko stało się jasne, i zacząłem czuć się jak prowadzący kącik złamanych serc w gazecie codziennej.

Spytałem:

— Czyli, wyrażając to w poetycki sposób, panie Biggs, stracił pan odrobinę głowę dla tej dziewczyny, co?

— Odrobinę? — stwierdził żałośnie. — Sparks, nawet nie zdajesz sobie sprawy.

— To pańska opinia — oznajmiłem, przypominając sobie jak to było z tym „lubi”, które mi wyszło.

— Co? — Potem zapomniał o swojej ciekawości, w wybuchu niezwykłego – jak na niego – rozdrażnienia. — Ale ja nie zostawię tego, tak na boku, Sparks. Pokażę staremu, że mam prawo kochać jego córkę. Nie obchodzi mnie, czy on jest absolwentem NRI, pokażę tej wyleniającej starej kosmicznej krowie...

— Czy może jakimś trafem — zaryczał czyjś głos — wspomina pan o *mnie*, panie Biggs?

Obaj aż podskoczyliśmy. W drzwiach kabiny stał stary.

Szybko rzuciłem:

— Wybaczcie mi, panowie! Muszę się zobaczyć z jednym gościem w sprawie mojej trumny! — i próbowałem prześlizgnąć się obok kapitana Hansona, by zniknąć bezpiecznie gdzieś w głębi pokładu, ale stary potężnym rykiem osadził mnie z przytupem w miejscu.

— Wracaj tutaj, Sparks! Potrzebuję cię jako świadka! — Odwrócił się do Biggsa, którego twarz wyglądała jak obracający się w snopie światła słonecznego pryzmat. — A więc! Czyli, ja niby jestem wyleniąłą starą kosmiczną krową, *panie* Biggs?

Biggs wyjąkał:

— Ja...ja...j...

Ładunek z Wenus

— Co! — Ryk Hansona zwiększył swą donośność o kolejny tuzin decybeli. — Ty impertynencki młody zarozumiałcu! Słyszalesz, go, Sparks? On powiedział: „Aye, aye!”. No to, ja ci teraz pokażę...

Wyciągnął swoją sękatą dłoń.

— Pańską raketę, proszę!

Wargi Lancelota Biggsa zadrżały. Wyciągnął rękę i mechanicznie odpiął ze miejsca nad swoją lewą pierś, małą, lśniącą, złotą odznakę w kształcie rakiety, która oznacza patent porucznika marynarki kosmicznej. Hanson schwycił ją. Władczym głosem oznajmił:

— Degraduję pana, Biggs, za niesubordynację, za zniesławienie wyższego stopniem oficera, za zachowanie niegodne oficera, z zamiarem złośliwej obrazy, i... No cóż, na razie to wszystko. Być może później wymyślę jeszcze parę dodatkowych rzeczy.

— Proszę udać się do swojej kwatery, panie Biggs. I proszę się uważać za aresztowanego, do czasu kolejnej wiadomości.

Biggs zasalutował, obrócił się na pięcie i wymaszerował z pomieszczenia. Uderzyło mnie, zupełnie nagle, że w tej chwili w ruchach tyczkowatego młodzieńca, nie było niczego zabawnego, niczego humorystycznego. Och, kroczył dumnie, jak zwykle. A ja często żartowałem sobie, że wygląda jak krab na szrudłach. Teraz jednak czułem jakby mnie coś dławilo w gardle, kiedy widziałem patetyczną godność w linii

Ładunek z Wenus

jego ramion, dumny krok, jakim szedł przed siebie, nie rzucając do tyłu nawet jednym spojrzeniem.

Zdaje się, że na chwilę puściły mi odrobinę nerwy. W uszach zabrzmiał mi ostro mój własny głos, kiedy warknąłem do Hansona:

— No cóż, tym razem z pewnością nieźle mu pan zwałił na głowę!

Ale, ku mojemu zdumieniu, kapitan Hanson szeroko się uśmiechnął. Wyglądał jak Ampie w elektrowni. A potem powiedział uspokajająco:

— Och, daj spokój, Sparks! Chyba nie myślisz, że będę aż takim ludojadem?

— Zniszczył pan go — rzuciłem oskarżycielsko. — Zabrał mu pan jego raketę i nałożył na niego areszt. Kiedy Korporacja się o tym dowie, to...

— Korporacja — odparł stary — w ogóle o tym nie usłyszy. Nie mam zamiaru wpisywać tego do dziennika. Sparks, to wszystko pozostanie między mną, tobą i Lancelotem Biggsem. Nie rozumiesz? Musiałem coś zrobić, żeby rozdzielić go z Diane.

Rozumiałem. I zdałem sobie sprawę, jak kompletnie ugrzęzłem pośrodku, z powodu mej przyjaźni z dwoma facetami, z których każdy wierzył w swe własne ideały, każdy uważał, że postępuje dobrze. Powiedziałem powoli:

— Rozumiem to, panie kapitanie. Ale, czy jest pan pewien, że dobrze pan robi? Pomimo wszystko, Biggs i pańska córka naprawdę mogą się lubić.

Ładunek z Wenus

Kapitan Hanson odpowiedział poważnie:

— I tego właśnie się obawiam, Sparks. Postaw się na moim miejscu. Jak by ci się podobał pomysł, aby twój wnuk wyglądał jak Lancelot Biggs?

Nie wiem. Może w tym faktycznie coś było.

No cóż, żeby uczynić naszą krótką opowieść nieco dłuższą, to wszystko wydarzyło się pierwszego dnia po opuszczeniu portu kosmicznego Long Island. Tempus, jak mawiali starzy Rzymianie, nerwus. Podczas kolejnych dwu dni, spędziłem swoje robocze zmiany na próbach doprowadzenia tego mojego porąbanego urządzenia, do stanu używalności; zaś czas wolny od służby na kursowaniu w tą i z powrotem między mostkiem i aresztem.

Miałem przyjemność – i kurczę! pewnie sami lepiej wiecie, o co mi chodzi – spotkania Diane Hanson. Była dziewczyną, kością niezgody i kłębkim ufryzowanych włosów, ale gdyby tylko kiwnęła palcem, wyskoczyłbym przez służbę kosmiczną i przyniósł jej całe naręcze galaktyk. Miała głos, który powodował, że czułem się jakby przez mój kręgosłup przepływało 0,30 ampera, a kiedy moje oczy napotkały jej spojrzenie, kolana mi się zupełnie trzęsły.

Jednak jej serce należało do siedzącego we więzieniu złoczyńcy. I nie obchodziło jej, kto o tym wie – poza starym. Spytała mnie:

Ładunek z Wenus

— Sparks, czy on się dobrze czuje? Czy jest mu wygodnie?

— Całkiem wygodnie — odparłem. — Ale jest niespokojny, jak wiewiórka w skamieniałym lesie. Tak dużo krąży po swoim pomieszczeniu, że niedługo dostanie nie tylko odcisków, ale odcisków na odciskach.

Smutno powiedziała:

— Gdyby tylko tata zaczął się rozsądniej zachowywać. Sparks, czy sądzisz, że jeśli pójdę do niego i o wszystkim mu opowiem...

Zadrzałem.

— Proszę o tym nie wspominać! Ani nawet o tym nie myśleć! Pani stary mó... chciałem powiedzieć, że pani ojciec mógłby odczytać pani myśli. — Zmusiłem się do wesołego uśmiechu, a la Święty Mikołaj, ponieważ sam nie wierzyłem w to co miałem powiedzieć. — Głowa do góry, panno Diane. Lancelot znajdzie sposób, aby wydobyć się z tych kłopotów.

— Naprawdę? — spytała z nadzieją. — Myśli pan, że on tego dokona, Sparks?

— Zawsze mu się udawało — powiedziałem jej. Oddałem co cesarskie swemu czystemu sumieniu, mamrocząc pod nosem: — Zawsze, poza tym razem.

I tak w końcu znaleźliśmy się w trzynastu, w wieżycze radiowej, tego brzemennego dnia. Dwunastu z zebranych

Ładunek z Wenus

spoglądało na mnie groźnie, a ja – to ja byłem numerem trzynaście – pocitem się jak góra lodowa na Saharze. Ponieważ był to właśnie ten dzień, i już cholernie blisko godziny, Wielkiego Meczu na Ziemi – a moje radio ciągle było równie gadatliwe, jak głuchoniemy w próżni.

Był tam Todd, główny inżynier Garrity, trzeci oficer Wilson, Billings i – cholera! – wszyscy z nas, którzy studiowali na jednej z tych dwu akademii. No i, oczywiście, był też kapitan Hanson. Był – i to bardzo. Wywrzaskiwał mi w uszy straszliwe groźby, z których najłagodniejsza brzmiała, że jeżeli nie zreperuję radia w ciągu minuty, a może nawet szybciej, to on osobiście wytatuuje mi na czole słowo „łajdak”, przy pomocy nitownicy.

Wyskrzeczalem:

— Dobry Boże, robię, co tylko mogę! Czy nie sądzi pan, że ja również chciałbym wysłuchać transmisji meczu, tak samo jak pan? Może nawet bardziej. Przecież Pyskacze wybijają dzisiaj z głowy pańskim Rakieciarzom wszystkie głupoty, zobaczy pan.

Stary szalał.

— Co!

Ale spuścił sobie trochę pary spod czachy, ponieważ wiedział, że to prawda. Zespół Spaceways Academy był znacznie bardziej faworyzowany niż jedenastka NRI, będąc jak do tej pory niepokonany w czasie całego sezonu, podczas gdy Rakieciarze przegrali z Armią i Notre Dame, oraz zremisowali z Yale.

Ładunek z Wenus

— I co z tego? Przecież w zeszłym roku...

— To — zadrwił z niego porucznik Dick Todd, szczerząc zęby w uśmiechu — było w zeszłym roku. Pobiliście nas wtedy, zgadza się. Ale w tym roku, to my wam uszyjemy buty.

— W każdym bądź razie — zawył stary — mój but wyłąduje, sam wiesz gdzie, Sparks, jeśli nie zmusisz tego przekłętego radia do działania!

Wstałem od odbiornika i zdjąłem swoje gumowe rękawiczki.

— Zrobiłem wszystko, co potrafię. Dwukrotnie rozłożyłem to cholerstwo na części i złożyłem z powrotem. Nie działa — z jednego prostego powodu. Selenowo-aluminiowa anoda jest walnięta.

Główny inżynier Garrity zaproponował:

— No to wymień ją na nową, człowieku.

— W porządku. Zaraz jak tylko — odparłem mu — zadokujemy w porcie kosmicznym Sun City.

Stary wyglądał jakby go ktoś zbił na kwaśne jabłko i znalazł robaka.

— Chcesz powiedzieć, że nie będziemy mogli posłuchać tej transmisji?

— Dokładnie to chciałem wam... — I wtedy przerwałem. — Chwileczkę! Jest pewna niewielka możliwość, że nam się uda. Jeśli jego wynalazek naprawdę działa. Ma zapasową anodę w swojej kwaterze, ale będzie musiał ją zainstalować. Ja nie wiem jak.

— On? — wrzasnął stary. — Kto? Człowiek na księżycu?

Ładunek z Wenus

— Człowiek w pierdlu — poprawiłem go. — Biggs.

— Biggs! — Wygląd starego nieco się zmienił. Teraz wyglądał jakby ktoś zbił go na kwaśne jabłko i znalazł tylko połowę robaka. Ale zwrócił się do Dicka Todda. — Proszę go sprowadzić, panie Todd — rozkazał.

Todd wyszedł. Wszyscy obserwowaliśmy zegar. Todd wrócił, prowadząc ze sobą Lancelota Biggsa, ex-więźnia. Stary ciskał gniewne spojrzenia na swojego pierwszego oficera.

— Usłyszałem o pańskim wynalazku, panie Biggs — oznajmił ironicznie. — Nie wierzę w to urządzenie. Może ono okazać się jeszcze jednym z poronionych pomysłów pańskiego mózgu. Ale nie ma teraz czasu na zbytnią wybredność. Proszę je podłączyć. I niech pan będzie na tyle uprzejmy, aby patrzeć na kontrolki radia, a nie na moją córkę!

Lancelot Biggs stał bardzo, bardzo milczący.

— No i! — zaryczał stary. — Do roboty!

Lancelot Biggs uśmiechnął się; delikatnie, niewyraźnie.

— Za — stwierdził — pewną cenę, panie kapitanie.

— Cenę! — Głos Hansona uniósł sufit co najmniej o cal. — Panie poruczniku, chyba nie próbuje się pan ze mną targować?

— Nie próbuję — poprawił Biggs, — ja się targuję. O cenę, za którą zamontuję w radiu mój nowy obwód anody. Później, w pełni gwarantuję jej działanie.

— Ty... ty bezczelny młody szczeniaku! — szalał stary. — Todd, Wilson, załóżcie mu kajdanki! Nie, stójcie, wy przekłęci

Ładunek z Wenus

głupcy! Zostawcie go! Jaka jest pańska cena, Biggs? Ale jej nie może pan dostać!

— Jej? — zapytał niewinnie Biggs. — Nie wiem, o czym pan mówi, panie kapitanie. Moją ceną jest... moja rakietka!

Kapitan Hanson popatrzył na twarze otaczających go w wyczekiwaniu absolwentów. Wiedział, kiedy znalazł się w kropce. Powiedział „No cóż...” i sięgnął do kieszeni.

Biggs przypiął niewielki złoty emblemat w miejscu które do niego należało, i nigdy nie widziałem człowieka wyglądającego bardziej dumnie. Potem spokojnie oświadczył:

— Doskonale, panowie. A teraz, Sparks, mógłbyś mi tu trochę pomóc...

Uranowa anoda, działała. Dwie minuty po tym, jak podłączyłem przewód z plusem, przez lampy zaczęły przelatywać tańczące światełka, galwanometr wesoło podskoczył, a napięcie ponownie zabuczało w urządzeniu. Wykrzyknąłem:

— Biggs, jest pan fenomenalny!

Sięgnąłem do potencjometru dokładnego dostrajania, ale dłoń Biggsa powstrzymała moją.

— Nie tu, Sparks! Wyżej. Na falach ultrakrótkich, jak mi się wydaje. Około jednej pięćdziesięciotysięcznej na skali dokładnego strojenia.

Kapitan Hansen wychrypiał przejęty:

Ładunek z Wenus

— Panie Biggs, Sparks wie jak obsługiwać radio, bez pańskiej pomocy!

— Nie, *to* radio — wzruszył ramionami patykowaty porucznik. — Ta anoda znacznie się różni od starego typu. Bardzo znacznie!

Wydawało mi się, że wychwytiłem leciutką nutę rozbawienia w jego głosie, ale ta myśl zniknęła równie szybko jak się pojawiła — ponieważ moje palce znalazły właściwe miejsce. Nastąpiła chwila jęku super-heterodyn, a potem...

— ...wspaniały dzień, wielkie tłumy, proszę państwa! — usłyszeliśmy pełen ekscytacji głos. — I oto, mamy kolejne zagranie. Pyskacze ustawili piłkę na swojej linii osiemnastego jarda, jedenaście sekund do rozpoczęcia akcji...

— To jest to! — zagrział gromko kapitan Hanson. — Na miłość Boską, to jest to! Biggs, może nie jest pan takim bęcwałem, za jakiego pana uważałem!

Ale to nie był jeszcze koniec wstrząsających wydarzeń. Pamiętacie, jak wam mówiłem, że Pyskacze byli murowanymi faworytami, żeby spuścić Rakieciarzom lanie? No cóż — ewidentnie był to kolejny przykład na to, że w takich tradycyjnych rywalizacjach wszystko może się zdarzyć — i zazwyczaj tak to jest!

Zaledwie pięć minut po włączeniu radia, Rakieciarze zablokowali kopnięcie Pyskaczy, nacisnęli i przejęli piłkę na linii dziewięciu jardów swoich rywali. Po dwukrotnym zdobyciu przewagi liczebnej na atakowanym odcinku, jedenastka z akademii kapitana Hansona przebiła się i zdobyła przyłożenie.

Ładunek z Wenus

W chwilę później wykonali podwyższenie i wynik brzmiał 7-0 dla przypuszczalnie skazanych na pożarcie.

Twarze zebranych w pomieszczeniu, przedstawiały niezły widok! Hanson i Garrity, wyglądali jak wenusjańscy królikoludzie w zagonie marchewki; my zaś, którzy uznawaliśmy za naszą Alma Mamusię Akademię, mieliśmy uśmiechy jakby po zjedzeniu paru cytryn. Jednak wyraz twarzy Lancelota Biggsa, nie zgadzał się z tym opisem. Wyglądał jakby troszeczkę zaskoczony, troszeczkę zadowolony, tak jak człowiek nasłuchujący echa swoich okrzyków odbitych od górskiego zbocza.

Kapitan Hanson zaczął grzebać ręką w kieszeni spodni i wyciągnął solidny zwitek ziemsko-wenusjańskich kredytów.

— No i co, wy zakichani Pyskacze – czy którykolwiek z was postawi parę kredytów na to że wasz zespół wróci jeszcze do gry?

Miał mnóstwo chętnych. Pomimo wszystko, jedno przyłożenie w futbolu, to jeszcze nie wygrany mecz, a Pyskacze *byli* faworytami do zwycięstwa. Ja szarpnąłem się na kwotę trzydziestu kredytów, Todd też parę postawił. Garrity otworzył swój antyczny, przeżuty przez mole portfel, i zaryzykował parę własnych kredytów, domagając się szansy trzy do jednego.

A mecz toczył się dalej.

Pierwsza kwarta zakończyła się, zaskakująco, prowadzeniem Rakieciarzy ciągle wynikiem 7-0. W drugiej kwarcie,

Ładunek z Wenus

kapitan Hanson, zalewając nas ciągle potokiem „a nie mówiłem wam”, zwrócił się do Lancelota Biggsa, szyderczo piejąc:

— No i co, panie Biggs, jakoś mi się wydaje, że pieczołowicie pan unika wszystkich zakładów, na ten pański zespół?

Biggs, którego oczy przez cały czas wbite były zachłannie w siedzącą w pomieszczeniu dziewczynę – domyście się, którą! – przełknął ślinę i jego wbudowana w szyję winda przemieściła się w górę i w dół. Powiedział, niemal z zażenowaniem:

— Ja... nie wiem, czy powinienem, panie kapitanie...

Hanson parsknął.

— Tego właśnie można było się spodziewać po Pyskaczu. No cóż...

W tej samej chwili uciszył go nagle Garrity:

— Ćśśś, szefie! Coś się dzieje!

I rzeczywiście, coś się działo. Sprawozdawca w radiu dostawał spazmów.

— ... i to wygląda źle dla Pyskaczy, proszę państwa! Szybkie kopnięcie Rakieciarzy zepchnęło ich na linię jednego jarda... teraz ustawiają się, żeby wydobyć się z kłopotów... Chwileczkę! Z ławki Pyskaczy wchodzi rezerwowo. To... nie mamy czasu, aby uzyskać dla państwa jego nazwisko, ale ma numer 36. Wchodzi na pozycję rozgrywającego, za O'Doule'a...

Hanson naciskał:

— No i co, Biggs?

Komentator ciągnął dalej:

Ładunek z Wenus

— Numer 36 wszedł na pozycję rozgrywającego, proszę państwa. Teraz wykrzykuje jakieś sygnały. Nagła zmiana planów. Nowy zawodnik podchodzi do kopnięcia... Nie, będzie podawał... Nie, zaczyna biec... Nie – on wypuścił piłkę!

— Tuż za słupami bramki utworzył się kłęb zawodników! Sędziowie rozdzielają ich. I... to jest przyłożenie dla Rakieciarzy, proszę państwa! Wynik brzmi 13-0!

Hanson wydał potężny ryk zachwytu.

— Jeeest! Wiedziałem to! Dobrze pan zrobił, że nie chciał pan się założyć, Biggs!

Wtedy jednak, zaskakująco, odezwał się Lancelot Biggs.

— Ile chciałby pan postawić, panie kapitanie?

— I...le? — Hanson wyglądał na oszołomionego. — Każdy kredyt, jaki mam w kieszeni, panie poruczniku. Dwieście pięćdziesiąt.

— Przyjmuję pański zakład — oznajmił Biggs.

Doskoczyłem mu do boku i dałem mu szybkiego kuksańca w żebra. Wysyczałem do ucha:

— Niech pan nie będzie głupi, Biggs! Jeśli już musi się pan zakładać, niech on panu da wyrównanie szans...

Ale było za późno. Zakład znalazł się już w rękach strony neutralnej, stewarda Douga Enderby. Teraz, z nową falą napięcia, jaka w nas wezbrała, zaczęliśmy przysłuchiwać się dalszemu ciągowi transmisji.

Ładunek z Wenus

W trzeciej kwarcie, Dick Todd wyciągnął chusteczkę do ocierania łez.

— Jezu, Sparks — wyszłochał do mnie, — co się dzieje z naszymi chłopakami? To przecież masakra. Tak samo, jak w zeszłym roku.

Mówił tak, ponieważ do tego czasu Rakieciarze ponownie zdobyli punkty, tym razem gładkim sześćdziesięciojardowym atakiem. Garrity i Hanson dosłownie padali z radości, teraz już oferując fantastyczny stosunek szans każdemu Pyskaczowi, który chciałby się założyć. Ale wszyscy wzięliśmy sobie na wstrzymanie. To jest, wszyscy, poza jednym człowiekiem – pierwszym oficerem Lancelotem Biggsem.

W chwili spokoju, zwrócił się do starego:

— Panie kapitanie — oznajmił, — nie mam już więcej kredytów, ale chciałbym zaryzykować inną stawkę.

Hanson zachichotał:

— Pańska koszula nie będzie na mnie pasować, panie Biggs.

— Założę się z panem — z namysłem powiedział Biggs, — o moją działkę kosmiczną, przeciwko przywilejowi trzech następnych lądowań, że Pyskacze pokonają tego roku Rakieciarzy.

Wszyscy aż sapnęli. To były *prawdziwe* stawki. Każdy oficer nagradzany jest przez IPS przyznaniem mu roszczenia obejmującego prawa własności do wszystkich niewykorzystywanych obszarów danego łuku na powierzchni planety. Może on albo sam wykorzystywać ten sektor, albo powierzyć

Ładunek z Wenus

eksplorację profesjonalnym kosmicznym firmom poszukiwawczym. W obydwu przypadkach, znaczący odsetek wszystkich rud, kamieni szlachetnych i innych minerałów znalezionych w tym wyznaczonym sektorze, należy do niego. Wielu oficerów marynarki kosmicznej, w ciągu jednej nocy zdobyło fantastyczne bogactwo, kiedy w ich sektorze znaleziono odłamki skał diamentowych, czy granule meteorytowej rudy.

Z drugiej strony, Biggs także prosił o wielki przywilej. Zanim oficer marynarki kosmicznej będzie mógł zostać dowódcą, musi osobiście wykonać pięć lądowań w portach na dowolnej z planet. Kapitanowie bardzo ostrożnie wydawali na nie pozwolenia, często każąc młodszym oficerom czekać latami na zdobycie swego patentu kapitańskiego.

Wyglądało to, jednak, jakby Biggs ponownie lekkomyślnie nadstawiał karku. Próbowałem go powstrzymać.

— Nie, panie Biggs. Ten mecz wpadł już w ręce Rakieciarzy. Proszę się tak nie napalać!

Ale zaledwie połowa tych słów zdążyła przejść mi przez gardło, kiedy kapitan Hanson gromko wykrzyknął:

— Przyjęte! Panowie, biorę was za świadków tego zakładu!

I zatarł swoje ogromne łapska, jak szop pracz na widok kubka miodu.

Dwadzieścia do zera! Taki był wtedy wynik, i tak samo brzmiał on piętnaście minut później, kiedy zaledwie siedem kolejnych minut zostało do zakończenia dorocznej awantury. Lancelot Biggs sposepniał, spoglądając szalonym wzrokiem.

A teraz jeszcze kapitan Hanson miał swój udział w tym szaleństwie. Muszę przyznać, że jego radość irytowała mnie. Potrafię znieść, kiedy ktoś mi dokłada, tak jak każdy inny człowiek, ale cholernie nie lubię, jeśli ten ktoś przy tym się cieszy. A tak właśnie robił stary. W miarę jak upływały kolejne minuty, i przewaga Rakieciarzy stawała się chwilami przytłaczająca, najpierw szydził z nas, Pyskaczy, potem obrażał nas, oferując ośmieszające szanse przeciwko naszemu zwycięstwu, a w końcu oskarżył nas wszystkich o brak sportowego ducha.

Biggs, uważnie trzymający się z daleka od Diane, tak aby nie wzbudzać uśpionego gniewu starego, dostał dziwnie białych policzków. A może wcale nie tak dziwnie. To trudno stać spokojnie i obserwować jak wszystko co masz wyślizguje ci się z rąk.

Kapitan w żaden sposób mu tego nie ułatwiał. Co chwila stary pochylał się, walił się po udach i wrzeszczał:

— Czy ma pan może coś więcej, co mógłby pan postawić, panie Biggs? Jaka szkoda! Jestem starym kosmicznym wyjadaczem i to jeszcze nie jest najlepsza zabawa, jaką miałem!

W końcu, w pewnej chwili Lancelot Biggs wyrwał się ze swego osobliwego otępienia. Oznajmił:

Ładunek z Wenus

— Tak, panie kapitanie. Mam jeszcze coś, co mógłbym postawić!

Nawet Hanson zawahał się na coś takiego.

— Tak? — była to chyba jego najbardziej zirytowana odpowiedź.

— Czy... — W oczach Biggsa pojawił się wyraz rozmarzenia. — Czy byłby pan taki uprzejmy i wyszedł ze mną na korytarz? To znaczy pan i Sparks, jeśli można prosić.

Dobry, stary Sparks; świadek na zawołanie. Nie myślcie jednak, że sprawiało mi jakąkolwiek przyjemność, to robienie za świadka czystego szaleństwa. Kiedy znaleźliśmy się za drzwiami, z dala od przypatrującego się tłumu, zacząłem błagać Biggsa.

— Biggs, na miłość Boską – czy nie dość już pan stracił? Niech pan nie zakłada się więcej!

Ale spojrzenie jakie mi rzucił, było odrobinę tajemnicze. I wyszeptał szybko:

— Sparks, wszystko w porządku. Wiem, co robię...

Potem w drugą stronę, do kapitana.

— Kapitanie Hanson, została mi na świecie jeszcze tylko jedna rzecz, która ma jakąś potencjalną wartość. Prawa patentowe do mojego nowego wynalazku, użyteczności którego był pan świadkiem przez całe popołudnie. Chodzi o uranową anodę do systemów audio. To będzie mój wkład w stawkę zakładu.

Hanson stwierdził podejrzliwie:

— No, nie wiem...

Ładunek z Wenus

A potem do mnie:

— Sparks, czy to jest cokolwiek warte?

Przytaknąłem poważnie.

— Według mojej oceny — odparłem mu — to jest warte co najmniej ćwierć miliona kredytów. To pierwsza anoda jaką widzę, która naprawdę działa. Czy zauważył pan, że nie odbieramy nawet żadnych zakłóceń?

Stary skinął głową.

— No, dobrze. A moja stawka...?

Biggs oznajmił śmiało:

— Pozwolenie na widywanie się z pańską córką. A... jeżeli ona mnie zechce... na poślubienie jej!

Coś jakby gruchnęło i przez chwilę miałem wrażenie, że to eksplodował stary, ale to był jedynie czubek jego głowy, który wyleciał na dwie stopy do góry.

— Co! Myślałem, że pan zrozumiał... — Wtedy jednak na jego wargach pojawił się chytry uśmieszek. — Chwileczkę — powiedział przebiegle, — przyjmuję również, że jeżeli pan przegra, to nigdy więcej nie zobaczy pan się już z Diane?

Miałem ochotę wrzasnąć: „Nie!” tak rozpaczliwie, jak to wszystko pachniało. Ale ja byłem tutaj tylko stroną trzecią. Odpowiedź Biggsa była dokładnie odwrotna.

— Tak — oświadczył.

Jęknąłem. Marzenie o miłości młodego człowieka – dwadzieścia punktów do tyłu!

Przejdźmy już jak najszybciej przez te męczarnie. Wróciliśmy do kabiny pełnej szalejących ludzi. Podczas naszej nieobecności Rakieciarze przejęli rozpaczliwe podanie Pyskaczy, i wynik wynosił już 26-0. Tylko jeden punkt mniej od tego pamiętnego lania, jakie spuścili chłopcom z USSA w zeszłym roku. I ponuro wysłuchaliśmy, jak kopnięciem zdobywają ten dodatkowy punkt.

I to było już mniej więcej wszystko. Ponieważ trzy zagrania po tym ostatnim wykopie huknęło działo, tłum wrzasnął, a sprawozdawca zawył:

— ... i to już koniec meczu, proszę państwa! Rakieciarze wygrali to wspaniałe spotkanie 27-0. Słuchaliście tego programu dzięki Hornswimble Robot Corporation, wytwórców sławnych na całym świecie „Milczących Służących”. Po co żyć samotnie? Robot w domu, to stałe towarzystwo...

Garrity wywrzeszczał swoją najwyższą radość. Jego pięści przelatywały symultanicznie pod spuszczonej na kwintę nosami trzech Pyskaczy – włączając mnie.

— Płacić! — domagał się. — Płacić, wy ciemne tumany!

A kapitan Hanson zmienił się w jeden wielki uśmiech na nogach. Oznajmił tryumfalnie Biggsowi.

— No cóż, panie Biggs, mam nadzieję, że zapamięta pan sobie dzisiejszą lekcję! Dwieście pięćdziesiąt kredytów, jeśli będzie pan taki miły. Będę dla pana dobry i nie przyjmę pańskiej działki kosmicznej, mój drogi. Ale ten trzeci zakład... —

Ładunek z Wenus

Rozpromieniony odwrócił się do Diane. — Ten obowiązuje również i ciebie! A teraz...

Biggs ruszył. Do odbiornika radiowego. A idąc odezwał się:

— Tak. A teraz — oznajmił, — wydaje mi się, że powinien pan posłuchać *tego*...

Przekręcił potencjometr. Przez chwilę słychać było wycie, a następnie rozległ się głos, czysty, ostry, rozemocjonowany:

— ... zostało cztery minuty czasu gry, proszę państwa, i Rakieciarze mają piłkę. Ale to już nic im nie da. Nawet jeśli zdobędą punkty, nie zmieni to zwyciężcy meczu. Nie dadzą już rady odrobić tego ogromnego prowadzenia Pyskaczy 33-6...

Grom z jasnego nieba; szaleństwo i zamieszanie! W kabinnie zapanowała taka cisza, jak w niezle zaludnionym grobowcu, i w tej strasznej ciszy rozległ się słaby, cichy głos starożytny, dopytujący się:

— Co... co to ma znaczyć?

Biggs zahuczał uprzejmie.

— To znaczy, panie kapitanie, że przegrał pan swoje stawki. Pamięta pan chyba, że wszystkie pańskie zakłady dotyczyły wyniku *tegorocznego* meczu – transmisji którego właśnie w tej chwili słuchamy. To bardzo niefortunne, że pamięć ludzka jest tak ułomna. W przeciwnym razie, przynajmniej

Ładunek z Wenus

niektórzy z panów mogliby zauważyć zdumiewające podobieństwo transmisji, której wysłuchaliśmy niedawno do meczu z zeszłego roku! Ponieważ tego ona właśnie dotyczyła!

Kapitan Hanson jęknął.

— Zeszłoroczny mecz! Ale, to przecież niemożliwe! Nie mógłby pan...

— Ja bym nie mógł — uprzejmie zgodził się z nim Biggs, — ale mój nowy wynalazek tak. Widzi pan, odkryłem podczas swoich eksperymentów, że uran ma pewne określone, szczególne cechy osobliwe. Ponieważ sam jest pierwiastkiem wysoce radioaktywnym, posiada dziwną właściwość opóźniania, niemalże na nieskończenie długi czas, przechodzenia impulsów elektrycznych, przez niego przesyłanych.

— I w ten sposób, w pewnych okolicznościach – w tym przypadku, Sparks, chodzi o aktywowanie na zakresie fal ultrakrótkich – może on zostać użyty jako pułapka czasowa na głos, do ponownego wychwycenia fal dźwiękowych wysłanych w eter dawno temu. Kiedy naukowcy na Ziemi dokładniej zbadają ten fenomen, przewiduję zadziwiające rezultaty. Być może już niedługo będziemy mogli jeszcze raz „usłyszeć” głosy naszych przodków, żyjących w dawnych czasach, w Epoce Elżbietańskiej, Epoce Maszyn lub też w Epoce Amerykańskiego Biznesu. Ale na razie... — Przyjaźnie się uśmiechnął. — Na razie, wysłuchaliście panowie przed chwilą transmisji zeszłorocznego meczu futbolowego Rakieciarze-Pyskacze. Tegoroczny, właśnie się kończy!

Ładunek z Wenus

I tak też było. Z wynikiem 33-6 dla Pyskaczy. Straszliwe wrzaski głównego inżyniera Garrity'ego, będą mnie prześladować do końca moich dni...

Po pewnym czasie, pozostaliśmy we wieżyczce tylko we czworo. Biggs, Diane, kapitan i ja. Stary miał wygląd bernardyna, który właśnie zgubił swoją beczułkę z brandy.

— Ale, niech pana diabli, Biggs, chyba nie ma pan zamiaru trzymać mnie za słowo, co do tych zakładów, co? Kiedy wiedział pan przez cały czas...

Briggs wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Był pan bardzo wspaniałomyślny wobec mnie, szefie. Ja również tak postąpię względem pana. Proszę sobie zatrzymać swoje pieniądze. Zgadzam się również na dwa lądowania. Ale ten trzeci zakład – no cóż, zna pan przecież to stare powiedzenie.

— Znam — wyjęczał kapitan — całe ich mnóstwo. O które panu chodzi?

— Wszystkie chwytły są dozwolone, w miłości i... A, lepiej zostawmy tę drugą część. Diane, kochanie...

Jedno trzeba powiedzieć o kapitanie; wiedział kiedy przegrał. Zmusił się do uśmiechu na twarzy – i wiecie, kiedy zobaczył blask w oczach Diane, która wpadła w objęcia ramion Biggsa, ten uśmiech zaczął wyglądać niemalże naturalnie. Rzucił mi wymowny sygnał, i zaczęliśmy zmierzać w stronę wyjścia. Ale ja miałem jeszcze jedno pytanie. W drzwiach odwróciłem się i spytałem:

Ładunek z Wenus

— Biggs, niech pan będzie uczciwy! Nie wiedział pan, że to urządzenie będzie działać w taki właśnie sposób, co?

Łagodnie zmarszczył brwi.

— Nie *wiedziałem*. Podejrzewałem.

— Ale kiedy — naciskałem — zyskał pan naprawdę pewność co do tego? Pańska pamięć nie jest lepsza od mojej. Bez wątplenia nie pamięta pan przecież szczegółowo wydarzeń z zeszłorocznego meczu.

— Niektóre z nich... — odparł z rozbawieniem. — Byłem pewien, kiedy usłyszałem tę kwestię o niezdarnym rozgrywającym, tym zmienniku z numerem 36. Pamiętasz?

— Pamiętam! No pewnie, że tak. To ten niezdarny gamoń, który upuścił piłkę na końcu strefy i zafundował Rakietczarzom przyłożenie. Powinien zostać wypatroszony i poćwiartowany, kretyn jeden. Ale jakim sposobem zapamiętał pan właśnie *jego*?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Sparks, przecież opuściłem progi Akademii właśnie w zeszłym roku — powiedział. — I zespół futbolowy także. To *ja* byłem numerem 36!

Potem odwrócił się do Diane, a ona odwróciła się do niego... A niech to diabli! Wiem, kiedy moja obecność jest niepożądana!

KONIEC

